Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 43

Dr. WIKTOR HAHN

Marja Konopnicka a Lwów

(W 25-tą rocznicę śmierci poetki)

Po Warszawie, w której spędziła Konopnicka szereg lat, Lwów należy do tych miast, które były najbliższe jej sercu. Po raz pierwszy bawiła Konopnicka we Lwowie w roku 1896 w jesieni przez dłuższy czas. Przyjmowały ją wtedy serdecznie *Czytelnia Kobiet*, *Czytelnia Akademicka*. Na przyjęciu wydanem na jej cześć przez *Koło Literacko - Artystyczne* wygłosiła Konopnicka piękny wierz: „Za co, za co tyle cześci", stwierdzając w nim, że „pieśń nie zmilknie w poniewierce, gdzie jest wasze serce". Później wspomniała, że Lwów zachowała w najlepszej pamięci, przepędziwszy tu bardzo miłe chwile.

Pamiętna nici nawiązanych wówczas we Lwowie ze światem literackim, pisze poetka w roku 1898 piękną kantatę na odsłonięcie pomnika Mickiewicza we Lwwoie, przez przeoczenie nie pomieszczoną przez Jana Czubka w zbiorowem wydaniu jej *Pism*.

W roku 1902, jubileuszowym, zawitała Konopnicka 25 października także do Lwowa, gdzie zgotowano jej entuzjastyczne przyjęcie. Wjazd jej z dworca kolejowego do miasta był prawdziwie tryumfalnym, wśród niezliczonych tłumów zebranej publiczności, powóz, wiozący jubilatkę, posuwał się zwolna, otoczony młodzieżą akademicką i gimnazjalną z pochodniami. Sprawozdawca „Kurjera Lwowskiego" pisząc o niezwykłym entuzjazmie zebranych, wznoszących bez przerwy okrzyki na cześć poetki, zauważył, że było to prawdziwe święto narodowe; Lwów potrafił uczcić pieśniarkę w sposób gorący, pełen zapału.

Obchód właściwy odbył się nazajutrz 26 października w Teatrze Wielkim przed południem. Wchodzącą do sali teatralnej poetkę powitały długo niemilknące oklaski i okrzyki. Wśród podniosłego nastroju wygłosili przemówienia m. in. prezydent miasta dr. Godzimir Małachowski, Jan Kasprowicz, Adam Krechowiecki; składały hołd jubilatce rozmaite delegacje. Rozrzewniona poetka dziękowała za te objawy czci, wyższe nad jej zasługę. „Usłyszałam tu słowa, mówiła poetka, które mi będą skrzydłem mocnem i w górę rwącem. Usłyszałam tu mowy słodkie i pełne otuchy. Przemówiły tu do mnie wszystkie serca... Ja śpiewałam — wyście walczyli. Ja byłam słowem — wy czynem. To, co nastrajało i unosiło pieśń moją — było płomieniem dusz Waszych. A jeżeli ona Was budziła, to i sama biciem serc Waszych, tętnem Waszej pracy budzona była. Na jaki dzień? na jaki bój? na jaki trud? — nie wiem. Ale jakikolwiek byłby trud i bój, musi zakończyć się zwycięstwem, gdy będziemy razem! Bojownicy różnych pól, zapatrzeni w jutrzenkowe świty, idziemy razem ufni i silni nadzieją. Idziemy — ku wolności". Tego samego dnia była wieczorem poetka na wieczorze Kościuszkowskim, urządzonym przez towarzystwo gimnastyczne „Sokół", a następnie na raucie wydanym na jej cześć przez Koło Artystyczno - Literackie.

Odtąd interesowała się Konopnicka żywo sprawami kulturalnemi i oświatowemi Lwowa, z całym szeregiem osób we Lwowie pozostawała w korespondencji, m. in. zasilała od czasu do czasu łamy dzienników lwowskich swemi utworami.

Kiedy Komitet Obchodu setnej rocznicy urodzin Juljusza Słowackiego we Lwowie zwrócił się także do Konopnickiej z prośbą o pozwolenie umieszczenia jej nazwiska na odezwie Komitetu, wzywającej całe społeczeństwo polskie do złożenia hołdu poecie, nadesłała Konopnicka na moje ręce list z Abbazji z dnia 9 lutego 1908 roku: „Najuprzejmiej dziękując za łaskawe nadesłanie mi odezwy Komitetu uroczystości Słowackiego, proszę bardzo o położenie pod tąż odezwą mojego podpisu".

W liście pisanym do mnie z 2-go kwietnia 1909 roku z Wiednia donosiła: „Co do łaskawego zaproszenia mnie do czynnego udziału w uroczystościach ku czci Słowackiego, to tylko na razie odpowiedzieć mogę, że przy mocno rozwiniętej chorobie serca wyrzec się muszę publicznych wystąpień całkowicie. Wątpię też, ażeby zamierzona kuracja, którą mam przedsięwziąć tej wiosny, mogła powrócić mi siły w odpowiedniej mierze. Piszę to z wielkim żalem co do siebie, a z gorącem pragnieniem, aby „Syn pieśni, Syn Królewski" uczczony został całą czcią i miłością serc naszych". W liście z Żarnowca z 25 października 1909 roku pisała m. in.: „Dziękując uprzejmie za zaszczytne zaproszenie na jubileuszowe uroczystości Słowackiego, pośpieszam zawiadomić, że z największym moim żalem z zaproszenia tego korzystać nie mogę. Ciężko chora na serce, od dłuższego już czasu nie biorę osobistego udziału w publicznych obchodach, któryto udział stanowczo jest mi wzbroniony. I dziś więc z daleka tylko radować się mogę widokiem zapału, jaki ożywia Szanowny Komitet".*).

Na same uroczystości jubileuszowe, które odbyły się z końcem października 1909 roku, nadesłała Konopnicka telegram tej treści z Jedlicz: „Naród szukać musi w pieśni nie tylko piękna, ale siły ducha i oręża walki. Nieśmiertelna pieśń Słowackiego daje Polsce i jedno i drugie. Hołd wielkiemu poecie ojczystego słowa! Cześć i miłość wodzowi niepodległych duchów! Marja Konopniska".

Wiersze Konopnickiej ku czci Słowackiego „Bądź z nami" i „Inwokację" pomieściło wówczas kilka dzienników lwowskich.

W poruszonej przez samą Konopnicką w liście do mnie kwestji uwzględnienia postaci Żółkiewskiego w poezji polskiej, zauważyła: „Cudowna to postać, ten Hetman opuszczony w śmiertelnym momencie walki. Zbyt ogromną jednak na nasze czasy i na nasze lutnie". (We wspomnianym poprzednio liście z 2 kwietnia 1909 r.).

I jeszcze raz miała zawitać do Lwowa autorka *Pana Balzera*, w roku 1910; przybyła już ciężko chora, wszelka zaś pomoc lekarska okazała się nadaremna. Dnia 8 października nad ranem zamknęła oczy na wieki w sanatorjum Kiselki. Przed zwłokami, złożonemi w krypcie kościoła bernardyńskiego, przesunęły się tysiączne tłumy, żegnając ją na zawsze.

Rada miejska uchwaliła urządzić pogrzeb kosztem gminy, Sejm, obradujący wówczas we Lwowie, postanowił wziąć w nim udział.

Dzień pogrzebu był wspaniałą manifestacją całego społeczeństwa polskiego, ostatnim hołdem złożonym Jej duchowi. Za trumną Konopnickiej szli posłowie sejmowi, senat uniwersytecki, rada miejska, namiestnik, marszałek kraju, przedstawiciele licznych stowarzyszeń i towarzystw, kilkutysięczny tłum ludzi. Przy wyniesieniu zwłok z kościoła przemówił Tadeusz Rutowski, nad mogiłą Jan Kasprowicz, Jakób Bojko, Zofja Daszyńska - Golińska, poseł Hudec, Adam Zagórski i reprezentant młodzieży.

Opieką nad grobem Konopnickiej zajął się specjalny „Komitet budowy pomnika Konopnickiej we Lwowie", który z wielką usilnością mimo ciężkich warunków starał się zrealizować swą główną myśl. Komitet pielęgnował kult Konopnickiej w społeczeństwie, urządzając corocznie nabożeństwa żałobne w dniu jej śmierci, m. in. wydał dwie popularne broszurki: 1) Ze skarbca Konopnickiej (wyjątki z jej utworów), w dwóch dotąd wydaniach, 2) W dwudziestopięciolecie zgonu Marji Konopnickiej 1935, nadto pocztówki z jej portretem, wszystko na rzecz budowy pomnika. 13 października br. poświęcono na cmentarzu Łyczakowskim nowy grobowiec z popiersiem poetki z bronzu, wykonanem według projektu śp. Luny Drexlerówny.

We Lwowie wyszły po raz pierwszy następujące utwory Konopnickiej, niecenzuralne, stąd ogłoszone pod kryptonimem lub pseudonimami:

1) *M. K.* Damnat. Poezje. Lwów. 1903.
2) *Jan Sawa.* Śpiewnik historyczny. Lwów. 1903.
3) *Jan Sawa.* Ludziom i chwilom. 1904. Lwów. 1905.
4) *Jan Waręż.* Przez głębinę. Lwów. 1907, ponadto
5) Szkice. Lwów. 1905.
6) Ziemie polskie. Krajobraz. W wydawnictwie: Polska, Obrazy i opisy. Lwów. 1907. Tom. I.

We Lwowie też w rozmaitych czasopismach i dziennikach ukazywały się utwory Konopnickiej, m. in. w Gazecie Lwowskiej" (Niemczaki, 1904), „Dzienniku Polskim", „Gazecie Narodowej", „Kurjerze Lwowskim", (wraz z dodatkami Tydzień i Na ziemi naszej), „Słowie Polskiem", „Wieku Młodym". Tu też pojawiły się prace o niej pióra K. Falkiewicza, J. Pietrzyckiego, A. Pechnika, W. Hahna, Z. Bessażanki i innych. Ze Lwowa też otrzymał wydawca pism Konopnickiej, Jan Czubek, bibljografję jej utworów, którą dla pracy swej uważał za prawdziwe skarby (w liście z 1 marca 1913).

Z pomiędzy utworów Konopnickiej tylko treść nowelki *Banasiowa* rozgrywa się we Lwowie, z małem jednak wykorzystaniem obranego środowiska. Jedynie na początku w pięknych słowach opisuje Konopnicka park łyczakowski: „Południe było ciche i gorące. Park Łyczakowski we Lwowie zdawał się topnieć w powietrzu rozjarzonem, drgającem od natężonych promienistych blasków. W złoto zielonej sieci, splątanej z cienkich nitek, siejącego na wskróś cienistej lipy słońca, zwisał przedemną nieruchomo prawie i bez brzęku omdlały rój drobniuchnych muszek; nad niedalekim trawnikiem polatywały białe motyle krótkim, niskim lotem, zapadając głęboko między trawy; żwir błyszczał oślepiająco na krzyżujących się wprost ławki ścieżkach, a silne zmieszane wonie biły w powietrze, jakby z kadzielnicy. Wszystko to przyszło nagle po bardzo świeżym i pełnym ros rzęsnych poranku, gdy słońce, białe prawie, wytoczyło się wysoko, jak kula, uderzając całym żarem w dyszącą i spotniałą ziemię. Park był pusty. Ci, co tu bywają rankiem, już odeszli, ci, co szukają cienia i chłodu, nie przyszli jeszcze. Natężone gorąco zdawało się wzmagać wśród zupełnej ciszy, a oddalone cykania koników polnych podobne były do lekkiego trzasku niewidzialnych, podsycających żar południa iskier". Mam wrażenie na podstawie szczegółów zawartych w tej noweli, że treść jej dałaby się raczej odnieść do stosunków Królestwa Polskiego; czy przypadkiem nie nastąpiło to przeniesienie akcji do Lwowa ze względów cenzuralnych? Poza *Banasiową* Lwów w żadnym innym utworze Konopnickiej nie jest uwzględniony.

---

*) W zbiorze moim listów mam jeszcze list Konopnickiej, pisany z Nizzy 10 lutego 1910 roku do p. Zofji Rutkiewiczowej, w którym pisze o swej chorobie tak: „Co do mnie, przyjechałam tu w bardzo złym stanie. Moja choroba serca zrobiła znaczne postępy. Znalazłam tu wszakże lekarza rodaka, niezmiernie sumiennego, który prowadzi moją kurację, a Dr. Dobrzycki z Warszawy naradza się z nim od czasu do czasu". O Nizzy zaś samej pisze: „Ciągła tu wrzawa, automobile zatruwają powietrze. Nie jest to już ta sama Nizza, pełna ogrodów. Wycięto dużo drzew, pobudowano wielkie kamienice, a żywioł moskiewski rozpanoszył się w całem mieście".

MAURICE DONNAY 5

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

ZUZANNA. — Tak, rozumiem co mi chcesz powiedzieć; to jedynie jej mózgiem jesteś oczarowany, nieprawdaż? Jej drogim mózgiem, jej wyjątkowym mózgiem! Mój ci nie wystarcza i nie znajdujesz go na wysokości swojego. Ach! Jakże musisz się nudzić przy mnie i jak mi cię żal! Tak, wiem, powiesz mi jeszcze, że żywisz dla mnie szczere uczucie i że ja mam lepszą część. A więc dobrze, tylko, że mnie to nie wystarcza. Jeśli ci potrzeba jednej kobiety dla rozumu, drugiej dla serca, a trzeciej nie wiem tam do czego, to z takim systemem możnaby daleko zajechać! Jesteś dla mnie zbyt skomplikowaną istotą. Co do mnie, nie jestem skomplikowana, ale się tem szczycę; jestem kompletną kobietą, kobietą w całem znaczeniu tego słowa: byłam niewinną dziewczyną, kobietą kochającą szczerze, kochanką namiętną, wierną żoną, matką troskliwą i oddaną. Nie uznaję twoich subtelnych rozgraniczeń i nie przyjmę roli, którą mi przeznaczasz, roli kobiety, służącej do zaspokajania potrzeb serca.

MICHAŁ. — Ależ wysłuchaj mnie.

ZUZANNA. — Nie, bo będziesz kłamał. Nie chodzi o intelektualną przyjaźń, ani o powinowactwo myśli; zdobyła całego ciebie, jesteś nią przepojony... ona żyje w tobie... kochasz, a na to niema rady. Dowodem tego, że kiedy przed chwilą ostrzegałam cię przed niebezpieczeństwem, nie przeczuwając, że już zapóźno, nie zdobyłeś się na żaden serdeczniejszy odruch. Dawniej, byłbyś padł do moich stóp, byłbyś mnie zasypał wyjaśnieniami, utulił pieszczotą. Byłbyś płakał, przekonałbyś mnie jednem słowem. A teraz bronisz się niezgrabnie, bronisz się jak winowajca, nieszczerze, bez skruchy, bez wzruszenia. W twojem sercu jest tylko gniew ku mnie.

MICHAŁ. — Tak, gniew, boś ty doprowadziła do tego, co się stało.

ZUZANNA. — Och, ja...

MICHAŁ. — Tak jest, bo gdyby nie twoja uparta ciekawość, nie wiedziałabyś o niczem! kiedy błagałem, byś nie czytała tego listu, miałem prawo do tego... tak jest, w głębi duszy i w sumieniu posiadałem to prawo, bo niespełna przed kwadransem, tu w tem miejscu oświadczyłem pani de Chouzé, że nigdy nie zostanę jej kochankiem i że się już nigdy nie zobaczymy... Nie, powtarzam jeszcze raz, że nie jest moją kochanką i nie kłamię. Natomiast prawdą jest, że ją kocham! A pokochałem ją dlatego, bo czułem, że przy niej odżywam, że dostarcza mi wrażeń, których łaknąłem, jak powietrza do oddychania... Byłem zamknięty tu i dusiłem się. Zdawało mi się, że jestem szczęśliwy, gdy nagle uprzytomniłem sobie, że moje szczęście jest jedynie letargiem i że ja sam jestem świadkiem stopniowej agonji mojej własnej inteligencji i własnej osobowości. Nagle zjawiła się ona i z tą chwilą coś we mnie odżyło! A jednak, dla ciebie, dla ciebie, która mnie znieważasz i uparcie wciąż nic nie chcesz zrozumieć — dla ciebie postanowiłem się poświęcić i wytrwać przy swoich obowiązkach. Ach! Nieszczęsna! Mogąc pozostać nieświadomą, zapragnęłaś wiedzieć!

ZUZANNA. — Poświęciłeś się? Hm, to wzniosłe! Ale ja nie odczuwam żadnej wdzięczności i twojej ofiary nie przyjmuję. Nie chcę, byś pozostał z obowiązku i prawdopodobnie z litości... Nie potrzebuję twojej litości; nie troszcz się o mnie. Jeśli nie umarłam pod obuchem takiej rewelacji, to widać nie należę do tych, co z tego umierają. Jeżeli uczciwe, rodzinne życie jest ci ciężarem, jeżeli się tu nudzisz, jeżeli kochasz inną, w takim razie nie należysz już do mnie i nie mam prawa więzić cię w małżeństwie.

MICHAŁ. — Zuzanno!

ZUZANNA (otwierając na oścież drzwi do parku). — Idź ku światłu, ku szczęściu i miłości! Jeśli się tutaj dusisz, to idź do swojej Żydówki i oddychaj przy niej.. idź do niej... idź... idź... żegnaj!

MICHAŁ. — Zuzanno!

ZUZANNA. — Nie, skończyło się. Spójrz na mnie... nigdy ci nie przebaczę.

MICHAŁ. — Jesteś dumna. Żegnaj! (Ucieka.)

ZUZANNA (sama). — Tak. Dumna. (Wybucha płaczem.)

Akt II.

(W Paryżu, w sześć tygodni później w pierwszych dniach listopada. Salon w mieszkaniu modern. Na prawo drzwi, prowadzące do przedpokoju. Na lewo drugie drzwi, prowadzące do pokojów.

Na drugim planie małe drzwi ścienne, prowadzące do męskiego gabinetu. Fortepian, meble w nieładzie, duże skrzynie, dywany w rulonach itd.).

Scena 1.

(W chwili podniesienia kurtyny, tapicer jest zajęty przybijaniem dywanu, podczas, gdy stojący na podwójnej drabinie monter przeprowadza druty, wzdłuż lustra nad kominkiem).

ANNA, SŁUŻĄCY, TAPICER, MONTER.

(Służący wprowadza Annę Daincourt do saloniku).

SŁUŻĄCY. — Pani zechce łaskawie zaczekać chwileczkę... pójdę uprzedzić państwa. Bardzo przepraszam, ale nie dosłyszałem nazwiska, które mi pani wymieniła.

ANNA. — Pani Daincourt... albo poprostu proszę powiedzieć panu, że to jego siostra.

SŁUŻĄCY. — Ach, tak, proszę bardzo.

(Wychodzi. Anna ogląda otaczające ja przedmioty. W kilka chwil później do salonu wchodzi Judyta. Ubrana jest w jasny negliż fryzura z warkoczami).

Scena 2.

ANNA, JUDYTA, TAPICER, MONTER, później MICHAŁ.

JUDYTA *(podając Annie obie ręce)* — jak się masz Anno.

ANNA. — Dzień dobry, Henryko.

JUDYTA. — Wybacz, że cię przyjmuje wśród tego nieporządku, ale ten pokój jest jeszcze najbliższy ukończenia... możesz sobie wobec tego wyobrazić, jak wygląda reszta. (Zwraca się do robotników:) Przepraszam, ale muszę wam przeszkodzić. Możebyście poszli pracować do jadalni, albo do kancelarji pana.... napewno tam się znajdzie coś do roboty.

MONTER. — Owszem.. mogę równie dobrze zakładać kontakty w jadalni.

TAPICER. — Skorzystam z tego i przymierzę firanki...

JUDYTA. — Dobrze, dobrze. (Wychodzą) — Och ta drabina, mogli byli ja zabrać.

ANNA. — Daj spokój... cóż to szkodzi?

JUDYTA. — To miło z twojej strony Anno, żeś przyszła... jesteś pierwszym gościem, jakiego widzimy w Paryżu.

ANNA. — Michał mi pisał, że wracacie wczoraj... to wczoraj, prawda?

JUDYTA. — Tak, przyjechaliśmy wczoraj.

ANNA. — Zapragnęłam więc naturalnie ucałować brata i dowiedzieć się, jak się czuje, po wszystkiem co zaszło.

JUDYTA. — Hm.... i jak sądzisz?

ANNA. — No, przecież po takim Trafalgarze! Jakże się Michał czuje?

JUDYTA. — Czuje się bardzo dobrze.

ANNA. — Jest szczęśliwy?

JUDYTA. — Sądzę, że tak.

ANNA. — To grunt.

JUDYTA. — Ach tak! Zresztą zobaczysz go sama. Otóż on.

(Rzeczywiście podczas ostatnich słów wszedł Michał).

ANNA. — Jak się masz, mój duży braciszku.

MICHAŁ. — Jak się masz, moja mała siostrzyczko.

(Całują się czule).

ANNA. — Ach, jak się cieszę, że cię widzę.

MICHAŁ. — I ja... jestem uszczęśliwiony.

ANNA. — Ależ nam dostarczyłeś emocyj!

MICHAŁ. — Wyobrażam sobie. Swoją drogą trzeba przyznać, żeś bardzo ładnie postąpiła w tych okolicznościach.

ANNA. — Żartujesz. Przedewszystkiem jesteś moim bratem, a pozatem, a pozatem bardzo cię kocham... więc stanęłam otwarcie po twojej stronie. Co do mnie, nie jestem zacofana. O nie.... wuj Emil i ja przyznaliśmy ci słuszność.

MICHAŁ. — Naprawdę?.... Sądziłem raczej, że wuj...

ANNA. — On? Jest zachwycony. Uważa, że wszystko jest w największym porządku. Było do przewidzenia, że on wam przyklaśnie: to postrzeleniec.

MICHAŁ. — (z uśmiechem). Pokazuje się.

ANNA. — Nie, ale rozumiesz, co chcę powiedzieć. Wiesz, jaki jest egzaltowany... Wreszcie, to człowiek, który sobie chciał w Grenadzie odebrać życie dla tancerki hiszpańskiej. Więc wasz romans go oczarował.

JUDYTY. — To uroczy człowiek! A więc wuj Emil jest sprzymierzeńcem.

ANNA. — Tak, raczej, ale też i jedynym.

MICHAŁ. — A mój brat?

ANNA. — O Kapitan... on nie jest z tych, co siedzą na dwóch stołkach... sądzi cię surowo... obowiązek u niego, to rzecz najważniejsza i fakt, że opuściłeś żonę, jest dla niego równoznaczny z dezercją. To jego określenie.

JUDYTA. — Widać, że nie jest żonaty... zresztą, zdanie wojskowego się nie liczy.

MICHAŁ. — A rodzice?

ANNA. — Och mamusia, biedactwo! Wszystko to odbiło się na jej zdrowiu: dostała znowu ataku żółciowego. Wuj Emil mówi, że widzi obecnie wszystko w kolorze wątroby. Wyobrażasz więc sobie, jak to wygląda. Co do tatusia, dość powiedzieć, że przestał polować.

MICHAŁ. — Biedni staruszkowie!

ANNA. — To jasne, że w ich wieku taka historja komplikuje życie... Twierdzą, że ci nigdy nie przebaczą, ale sami nie wiedzą co mówią.

JUDYTA. — Wszystko się ułoży.

ANNA. — Ale narazie... mój Boże... narazie....

MICHAŁ. (zasmucony) — Tak, tak... *(Milczenie).*

JUDYTA. — A twój mąż?

ANNA. — O, Jerzy jest w kłopocie: jest szwagrem Michała, do którego jest bardzo przywiązany, a z drugiej strony jest też przyjacielem twego męża... tak więc jest w trudnej sytuacji. Chce pozostać neutralnym.

JUDYTA. — Znakomite stanowisko.. niechże je zatrzyma. Czyś mu powiedziała, że nas odwiedzisz?

ANNA. — Oczywiście.

JUDYTA. — Nie robił ci uwagi?

ANNA. — Tegoby tylko brakowało! Przedewszystkiem, w konsekwencji zaszłych wypadków, miałam z Jerzym kilka interesujących rozmówek.

JUDYTA. — Ach, tak?

ANNA. — Opowiem ci to

JUDYTA. — Możebyś usiadła. Proszę cię.

(Wskazuje fotel obok małego stolika Tapicer złożył na nim materjały, które Michał zabiera i kładzie na fortepianie).

ANNA. — Naprawdę, zdumiewające, jaki wpływ wasza przygoda wywarła na nasze najbliższe otoczenie.

JUDYTA. — (siadając na małym stoliku). — Nie może być?

ANNA. — Tak jest, małżeństwa, które uchodziły za doskonale dobrane, nagle się porozchodziły... nie wyłączając pani Chartrette, która wyjechała z jednym malarzem.

JUDYTA. — Który ją portretował. To się zawsze od tego zaczyna.

ANNA. — Nie, portretował jej męża.. nie miała cierpliwości czekać, aż zrobi jej portret.

JUDYTA. — To najzabawniejsze, co sobie można wyobrazić!

ANNA. — Tak, moja droga. Pani Chartrette. Ktoby się tego był spodziewał?

JUDYTA. — Rzekłbyś, murowana cnota. Słyszysz Michale? Naśladują nas, zakładamy szkołę.

MICHAŁ. — Tak.

ANNA. — Ale mówmy trochę o was. Musicie mieć niejedno do opowiedzenia Przedewszystkiem Henryko, zmieniłaś fryzurę.

JUDYTA. — Całkiem trafne spostrzeżenie.

ANNA. — Tak się czesałaś za panieńskich czasów?

JUDYTA. — Uważasz, że mi z tem nie do twarzy?

ANNA. — Przeciwnie, bardzo ci do twarzy... tylko, że nadaje ci charakter... jakby to powiedzieć? Charakter mniej... a raczej bardziej...

JUDYTA. — Żydowski... czy to miałaś na myśli?

ANNA. — A więc tak...

JUDYTA. — Tego właśnie chcę.

ANNA. — Aa... w takim razie...

JUDYTA. — Pan de Chouzé nie życzył sobie, bym się w ten sposób czesała... znajdował, że to akcentuje mój typ... Tosamo było z mojem imieniem: żądał by mnie nazywano Henryką; ale ja jestem Judytą... odtąd trzeba mnie tak nazywać.

ANNA — Zgoda. A pozatem, czy mieliście piękną podróż?

JUDYTA. — Bardzo piękną... Wiesz że wracamy z Jerozolimy?

ANNA. — Wiem, wiem... to nieba. nalne...

JUDYTA. — Och, nie szukaliśmy oryginalności. Poprostu miałam ochotę ujrzenia Jerozolimy. Odczuwałam potrzebę odchrzczenia się w jakiś sposób A pozatem to był ślub, który sobie uczyniłam przed pięcioma laty, gdy wstępowałam na stopnie św. Magdaleny. by wziąć ślub z panem de Chouzé.

ANNA. — Mam przyjaciółkę. Ta, również wstępując do ślubu na stopnie św. Trójcy, poczuła nagle, że jej pęka... dessous. Powiedziała sobie: „Stało się, zdradzę go."

JUDYTA (śmiejąc się). — Ha! Ha! Nadzwyczajne! Nie znałam tego... A więc to jest przepowiednia?

ANNA — W naszej religji tak... to jest, w naszej religji... właściwie...

JUDYTA. — Rozumiem... to taki mały francuski zabobon...

ANNA. — Czy Jerozolima jest ładna?

JUDYTA. — Ładna — nie; ale ciekawa i przedewszystkiem ogromnie nastrojowa. Pomyśl tylko, wszak to kolebka wiary.

ANNA. — Naprawdę? A czy było dużo ludzi?

(C. d. n.)

„Święty Tomasz z Akwinu"

Znakomity pisarz angielski Chester ton poświęcił życiu i dziełu św. Tomasza z Akwinu interesujące i głębokie studjum. Nie kusząc się o wyłożenie teologji tomistycznej, autor daje w niem psychologiczną definicję człowieka, portret myśliciela, oraz określa rolę wielkiego Doktora Kościoła w życiu duchowem średniowiecza. Rola ta polega — zdaniem Chestertona — na pogodzeniu religji z rozumem.

Urodzony w purpurze, jako siódme dziecko hrabiego Landolfa z Akwinu, kuzyna cesarza rzymskiego, zdradza już od wczesnej młodości tak zdecydowane powołanie do stanu duchownego że ojciec — srogi rycerz — zgadza się uczynić zeń dostojnika Kościoła. Przeznacza mu infułę biskupią w Monte - Cassino, natrafia jednak na wolę twardszą i bardziej nieubłaganą, jak swoja własna: Tomasz nie chce być biskupem, ani przeorem, chce być braciszkiem jak inni. Upór młodego arystokraty staje się głośnym skandalem. Ojciec wtrąca buntownika do więzienia, ale i ten środek zawodzi. Tomasz znosi uwięzienie ze stoicyzmem, „nie widząc prawdopodobnie wielkiej różnicy pomiędzy filozofowaniem w celi klasztornej, czy więziennej".

Kreśląc jego portret, Chesterton uwypukla go jeszcze przez porównanie ze św. Franciszkiem, który był „mały, chudy i niezmiernie ruchliwy". Spokój i powolna reakcja Tomasza sprawiają, że nauczyciele osądzają go początkowo jako dziecko tępe, apatyczne. To ogromne ciało, ciężkie i powolne jest siedliskiem duszy łagodnej i szczodrej, lecz zamkniętej w sobie, nieśmiałej aż do pokory.

Epokę, w której żył św. Tomasz z Akwinu, to jest średniowiecze (a ściśle mówiąc wiek XIII) — uważa Chesterton za bardziej twórczą niż Odrodzenie, które „wskrzesiło jedynie wielkie rzeczy umarłe". Trudno oczywiście przyjąć bez zastrzeżeń twierdzenie, jakoby Michał Anioł, Donatello, Ghirlandajo i da Vinci „wskrzesili jedynie wielkie rzeczy umarłe". Przyjąć, że Odrodzenie jest tylko odrodzeniem w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, byłoby prostą grą słów. Paradoksy, w których lubuje się Chesterton, stanowią zresztą wielki urok angielskiego pisarza.

Cała strona psychologiczna i biograficzna książki tętni życiem i prawdą. Dzięki niej poznajemy św. Tomasza, widzimy go kiedy działa, asystujemy jego przeciągającym się milczeniom, z uśmiechem sympatji patrzymy na roztargnienia.

Partja książki, poświęcona filozofji tomistycznej (nie mówię tu o teologji, kwestji której autor nie porusza) jest bardziej powierzchowna; i taką być musiała, ze względu na przystępność jej dla szerokich rzesz czytelników.

Zestawieniem dość nieoczekiwanem ale dowcipnem i mimo wszystko słusznem, jest postawienie obok św. Tomasza z Akwinu — profesora Huxley'a. Bo podobnie jak on — ale jakże dawno przed nim! — przyjął św. Tomasz definicję metody agnostycznej: „Iść za rozumem tak daleko, jak rozum zajdzie". Zadziwiająco nowoczesnem i materjalistycznem twierdzeniem, że „wszystko co jest w umyśle, istniało w zmysłach", przeciwstawia się arystotelizm św. Tomasza doktrynom platońskim. Bo neoplatonizm uważa intelekt za oświetlony całkowicie od wewnątrz, podczas gdy św. Tomasz widzi go oświetlonym przez pięć okien, któremi są zmysły. Wbrew wszystkim filozofom, którzy dyskutują w nieskończoność — wartość naszego pojmowania zapomocą zmysłów, myśliciel ten zapewnia, ze zdrowym rozsądkiem, rzadkim u metafizyków, że doskonale pojmujemy istotę „istnienia". Doktryna jego opiera się — tak jak każda doktryna — na postulacie; ale ze wszystkich postulatów jest on najłatwiejszy do przyjęcia, a nawet można powiedzieć, że trudnoby go było nie przyjąć (chyba, że się jest filozofem z zawodu). W rzeczywistości, wyraża się on w ten sposób: „To co jest, jest". I na tym końcu igły, poprzez nieprzerwany łańcuch dowodzeń logicznych, postawi na nogi całą syntezę chrześcijańską.

System tomistyczny — zapewnia znakomity biograf — jest szkołą mądrości i optymizmu „dynamicznego", jest szkołą radości życia w ścisłym związku z ziemią, w oczekiwaniu szczęśliwości wiecznej.

Książka Chestertona zachęci prawdopodobnie wielu czytelników do poznania dzieł św. Tomasza z Akwinu, a conajmniej zachęci ich do bliższego zapoznania się z postacią świętego i filozofa, genjalnego mnicha średniowiecza.

M. O.

Karol Miarka w obronie języka polskiego na Śląsku

PIERWSZE WYSTĄPIENIE

Z chwilą ukazania się pierwszego pisma perjodycznego na Górnym Śląsku w roku 1868 po piętnastoletniej przerwie stała się aktualna sprawa języka polskiego, jego praw i należnego dlań szacunku. Pismem tem był „Zwiastun Górnośląski", pierwszy zaś artykuł z maja tegoż roku p. t. „Z powiatu opolskiego — o prawach polskiego języka na Górnym Śląsku" napisał ks. P. (ks. Paweł Kamiński), w którym domagał się „należycie uwzględniać polską mowę w sądownictwie i w wyższych szkołach".

Pominięcie języka polskiego w programie nauki w gimnazjum bytomskiem oraz usunięcie jednego ucznia dlatego, że „niewiele umiał po niemiecku", było powodem, że Karol Miarka w korespondencji z Bytomia „O edukacji górnośląskiej" bardzo ostro wystąpił przeciw germanizacji, podkreślając krzywdę, jaka z tego powodu się dzieje wychowaniu i wykształceniu ludu górnośląskiego.

„Jesteśmy Polakami, a mamy się stać Niemcami — woła Miarka — podczas gdy wychować młodzież mozna właściwie tylko przez naukę w języku ojczystym". Dużo argumentów przytoczył Miarka w obronie Górnoślązaków, a wypowiedział je z taką siłą, że redakcja „Zwiastuna" w rok niespełna potem musiała tłómaczyć duchowieństwu z dekanatu gliwickiego, dlaczego „zajmuje czasem w sprawie postępowej niemieckiej nieprzyjazne stanowisko, jakoby sądziła, że Górny Śląsk może kiedyś być spolszczony". Tłómaczyła zresztą niezręcznie i dla siebie niepochlebnie. „Artykuł ten był — tak pisał ks. Radziejewski we wspomnieniu pośmiertnem o Miarce — jakoby błyskawica na ciemnem pochmurnem niebie", odtąd bowiem świadomość narodowa szybko rozprzestrzeniała się w masach ludu śląskiego.

Wobec tego, że język ojczysty odgrywa tak doniosłą rolę w wychowaniu młodych pokoleń, zajął się nim Miarka, i pragnął uzasadnić, że tak zwany język górnośląski jest gwarą języka polskiego i że duchowieństwo i nauczyciele powinni szerzyć znajomość języka polskiego literackiego, książkowego. Jednakowoż „Zwiastun" tej części artykułu Miarki nie umieścił, dając wzamian „Odezwę do Szanownych Panów Nauczycieli przy górnośląskich szkołach" na ten sam temat. Kto był autorem odezwy, trudno w tej chwili ustalić, w każdym razie nie był nim Miarka.

GWARA GÓRNOŚLĄSKA A JĘZYK POLSKI

Artykuł o gwarze śląskiej zamieścił Miarka dopiero w swoim „Katoliku" w r. 1872 (nr. nr. 50—52) p. t. „Wasserpolnisch". Przed uzasadnieniem jego tezy należy podać główne myśli artykułu.

Przedewszystkiem określenie gwary jako „wasserpolnisch" utworzyli Niemcy, ażeby zohydzić język polski ludu śląskiego. „...bo czemuż to wieśniacy — pyta Miarka — rozumieją kaznodziei czystopolskiego? — A czemuż to książki modlitewne lud czyta i rozumie czystopolskie? — Djalekt wieśniaka naszego jest to język prawo-polski z czasów Zygmuntów. Czytając ówczesne pisma, znajdujemy w nich djalekt chłopka naszego".

Opiera się w swych wywodach Miarka na ludzie wiejskim, ponieważ w miastach ludność się germanizowała, jako uzależniona od kapitałów niemieckich. A dalej przytacza najbardziej charakterystyczne cechy gwary śląskiej, zgodne ze zdobyczami dzisiejszej dialektologji, a więc 1-sza osoba czasowników w czasie przeszłym ma zamiast literackiego -łem gwarowe ł-ech, w trybie zaś warunkowym -bym, -bych, czemu w gwarze podhalańskiej odpowiada -łek i -byk, oprócz tego an nosowe, co zdaniem prof. Nitscha stanowi najistotniejszą właściwość gwary śląskiej, inne zaś cechy tej gwary mają swój związek jużto z gwarą wielkopolską, już to z gwarą małopolską.

Również mazurzenie — zdaniem Miarki — jest właściwe nietylko gwarze śląskiej (dodajmy — niektórych powiatów), ale i innych gwar polskich. Podobnie i inne języki posiadają dialekty, między niemi i język niemiecki. W konkluzji tych zestawień i uwag czytamy:

„Więc nie płaci wymówka, że śląski dialekt nie da się zmienić na czystą polszczyznę, bo języki wszystkich narodów walczą z równemi, ale najczęściej nawet z większemi szcze przeciwnościami. Wierzajcie mi, kochani nauczyciele, że nauczyciel niemiecki nie mniej ponosi pracy, chcąc dziatki niemieckie do czysto niemieckiego wprowadzić języka, jak my przy zaszczepieniu prawopolskiego ponosimy".

Wynika stąd, że, jak już nieraz Miarka zaznaczył, gwara, jako część języka polskiego, winna ustąpić językowi literackiemu, i to jego zdaniem nazywa się pielęgnowaniem języka. Przez to wcale nie potępił gwary, ale przez uzasadnienie jej łączności genetycznej z językiem polskim udowodnił, że nie jest ona czemś coby lekceważyć należało; wszelkie zaś wrogie twierdzenia „mają oczywiście na celu, by mowę naszą podać na wzgardę i przez ten fortel do germanizacji popchnąć".

Na postawione sobie pytanie, czy jest konieczne, „żeby się o czystopolski język starali?", odpowiada: „Konieczne, bo dopóki o to się nie postaramy, nie możemy myśleć o rozszerzeniu oświaty, o podniesieniu cywilizacji górnośląskiej". Starać się o to powinna przedewszystkiem szkoła, a w niej nauczyciel, następnie doskonalić się winien każdy w dalszem życiu przez lekturę.

Nieobojętną jest sprawą, jak tego języka uczyć. Tutaj na konkretnym przykładzie czytanki p. t. „Praca i opieszałość" wykazuje, jak przeprowadzać ćwiczenia słownikowe, rozbudzać imaginację, stosować „czytanie estetyczne", polegające na wszechstronnem zrozumieniu tekstu, słowem jest to teoretyczna lekcja przykładowa, nieodbiegająca wiele od wymagań dzisiejszej dydaktyki.

W artykule tym dużo miejsca poświęcił Miarka doniosłości szkoły i nauczyciela w ugruntowaniu świadomości narodowej przez język. Oto, jak pięknie pisał o roli nauczyciela:

„Kochany nauczycielu, nietylko masz w szkole uszlachetniać szczepek człowieka, ale przez całe życie jego masz mu być przewodnikiem, opiekunem duchowym (!). Szkoła dla sprawiedliwego nauczyciela staje się łańcuchem, który zawiązuje się w duchu nauczyciela i uczniów na całe życie. Dobry nauczyciel nieobojętnie przypatruje się dalszemu ucznia życiu: cieszy się, kiedy się dobrze powodzi jego wychowankowi, chętnie go podpiera dobrą radą, smuci się zaś, kiedy uczeń jego, niegdyś dobry, źle się mlewa, boleje nad owieczką na stracenie idącą".

Cały artykuł p. t. „Wasserpolnisch" nasuwa dwie uwagi, z których jedna mówi o spokojniejszem i rzeczowem traktowaniu zagadnienia w zestawieniu z nastrojem i tonem korespondencji z Bytomia „O edukacji górnośląskiej", której miał być zakończeniem, — druga zaś podkreśla wybitnie praktyczną rozwiązalność tego zagadnienia. Tylko nauczyciel i ksiądz, jako jedyna inteligencja polska, mogli zapoznać lud z językiem literackim. Wiadomo bowiem, że dla doskonalenia się w poprawnem używaniu języka utworzono we Wrocławiu związek studentów Ślązaków.

Wskazówki dla nauczycieli, jak mają uczyć języka polskiego, w grudniu 1872 roku były już nieaktualne, dlatego, że pruski minister Falk wydał 28 września tegoż roku rozporządzenie tej treści, że językiem wykładowym w szkołach jest język niemiecki z wyjątkiem nauki religji w oddziale najniższym. Następnie artykuł p. t. „Wasserpolnisch" był zakończeniem małej ropr awki „Jak sobie katolicy wobec ucisku i prześladowania postępują", której drugą część poświęcił Miarka tematom „o wychowaniu naszej młodzieży", dosłownie nieraz powtarzając myśli z artykułu „O edukacji górnośląskiej", zamieszczonego w „Zwiastunie" przed czterema laty, między niemi kursywą słowa biskupa Bogedaina o złych następstwach wychowania w języku obcym.

DALSZA WALKA O JĘZYK OJCZYSTY

Walkę kulturną rząd pruski prowadził przeciw katolicyzmowi i jednocześnie przeciw językowi polskiemu, to też na wiecach katolickich były wygłaszane referaty o pięknie i wartościach języka polskiego. Np. w roku 1876 w Raciborzu mówił o języku polskim ks. Szajkowski z Mikołowa, a w rok później ks. Przyniczyński w Opolu. Pomiędzy 11 punktami rezolucji raciborskiej punkt 6 brzmiał: „Walne zebranie protestuje w interesie religji i nauki przeciw usunięciu mowy polskiej ze szkół katolickich". W r. 1877 czytamy znowu artykuł: „Język ojczysty, najdroższa po przodkach spuścizna". — Słowem raz rozpoczęta walka o język i narodowość trwała aż do dnia wyzwolenia się z niewoli.

Karol Miarka sam bronił praw języka polskiego i artykuły innych autorów w tej sprawie żywotnej w swym „Katoliku" chętnie umieszczał.

Dr. JAN DĄBROWA.

ZOFJA HOROSZKIEWICZOWNA

O Marcelinie Sembrich-Kochańskiej

Pierwsi nauczyciele i pierwsze zarobki

Po śmierci Marceliny Kochańskiej pojawiły się o niej w druku rozmaite wspomnienia, w żadnem z nich jednak nie było wzmianki o osobach, które pierwsze dały jej sposobność zarobku i umożliwiły temsamem kształcenie się w muzyce, nie podano też nigdzie nazwisk jej pierwszych nauczycieli we Lwowie, oprócz nazwiska jej ojca, organisty i nauczyciela muzyki na prowincji. Mikuli często ubolewał nad tem, że talenty marnieją z braku funduszów na naukę. Była o tem mowa, że i co do młodziutkiej jeszcze Kochańskiej wyraził taki żal, słysząc ją na letnisku grającą na fortepianie. Mogę jednak stwierdzić z całą pewnością, że ani swojej szkoły wtedy nie miał, ani nie wpisał jej w owym czasie do szkoły Tow. Muzycznego we Lwowie.

Marcelina Kochańska, po śmierci ojca, zajmowała wraz z matką, wdową mały pokoik parterowy w oficynie przy ul. Ormiańskiej we Lwowie, w kamienicy, w której mieszkał nauczyciel tańców Kornel Kawecki, dobry pedagog i człowiek, rozumiejący i swój i cudzy interes. Uważał swoją pracę za wychowawczą, wymagał wiele od uczni, nie zadawalał się też jakąkolwiek muzyką przy lekcji. Grywał mu zwykle urzędnik pocztowy, p. S., który jednak został przeniesiony do Wiednia. Kawecki, przechodząc pewnego dnia przez podwórze, usłyszał grającą Marcelkę i zwrócił uwagę na jej wielkie poczucie rytmu. Wtedy zaproponował jej grywanie przy lekcjach tańca i dostarczył jej nut do wyuczenia się ulubionych jego utworów. Kiedy próba wypadła korzystnie, Kawecki zaangażowanie Kochańskiej w miejsce pana S. uczynił zależnem od zgody mej matki, Walentyny Horoszkiewiczowej, właścicielki Instytutu wychowawczo - naukowego żeńskiego, w którym prowadził stały kurs tańców. Wierna zawsze dążeniu, ażeby kobiecie dać możność pracy zarobkowej, matka moja zgody takiej najchętniej udzieliła, pomimo, że propozycja Kaweckiego odbiegała od ówczesnych zwyczajów. Kurs tańców trwał cztery miesiące, a składał się z trzech lekcyj w tygodniu, po dwie godziny. Kawecki przyjmował tylko po 12 uczenic na godzinę, o ile więc uczenic było więcej, lekcje trwały odpowiednio dłużej. Kochańska dostawała od niego po 50 centów za godzinę. Nie raz pozatem, gdy panienki miały ochotę się zabawić, grała im Kochańska po kolacji, przez dwie godziny zazwyczaj za wynagrodzeniem 1 złr. Inne domy przystały również na propozycję Kaweckiego, zaczęto też zapraszać Kochańską do grywania na wieczorkach tańcujących i na większych zabawach. Zdarzyło się, że pani z Russockich Wilczyńska na zabawie u siebie kazała synowi zatańczyć z Kochańską, gdy tymczasem kto inny wyręczał ją przy fortepianie; w ten sposób zaczęła ona wchodzić w „towarzystwo“.

Pokaźny zczasem zarobek pozwolił Kochańskiej zapisać się do szkoły Polskiego Tow. Muzycznego, na naukę gry na skrzypcach, jako główny przedmiot w klasie prof. Bruckmana i na fortepian, dodatkowy przedmiot, w klasie prof. Stengla. Szkoła P. Tow. Muzycznego nie była jeszcze przekształcona na konserwatorjum, nastąpiło to bowiem dopiero 18 września 1880, kiedy Kochańskiej już nie było we Lwowie. Niema jej nazwiska w spisie uczniów Konserwatorjum w roku 1880-1. Śpiewu nie uczyła się Kochańska w szkole Gal. Tow. Muzycznego, tylko u Włoszki, panny Destino, która przez kilka lat mieszkała we Lwowie. Głos Kochańskiej wtedy jeszcze się nie odznaczał ani barwą, ani siłą. Pamiętam, jak raz p. Destino przy prowadziła ją na próbę koncertu, ażeby mogła wziąć udział w chórze damskim, ale Mikuli się nie zgodził i skierował ją do orkiestry, do skrzypiec.

Po kilkuletniej pracy otrzymała Kochańska od Sejmu stypendjum na wyjazd do Wiednia, gdzie miała wstąpić do konserwatorjum, do klasy skrzypiec prof. Hellmesbergera, a przed wyjazdem chór damski Gal. Tow. Muzycznego urządził dla niej koncert, bo stypendjum nie mogło być wystarczające. Kochańska wypełniła sama wszystkie punkty programu, grając kolejno na fortepianie i na skrzypcach.

W Wiedniu dopiero, gdzie każdy uczeń obowiązany był uczyć się śpiewu, przy próbie głosu poradzono Kochańskiej, żeby zarzuciła i fortepian i skrzypce, a kształciła się tylko w śpiewie.

Dążenia wszystkich młodych uczni śpiewu skierowane były ku Włochom, gdzie wtedy najlepszym nauczycielem był Lamperti. Kochańska więc także do niego się udała. Nauka była kosztowna, wtedy to pomoc materjalna, jakiej jej użyczyła pani Berta z Breuerów Ziembicka, organizując w gronie swych znajomych stałą zbiórkę w tym celu, przyczyniła się bardzo skutecznie do ukończenia studjów.

Znają dobrze nauczyciele muzyki wartość dobrych początków nauki, bo to podstawa, na której wznosi się cała późniejsza praca; wiedzą dobrze pedagogowie, jak trudno jest wykorzenić wady, nabyte w początkach; dlatego wydało mi się wskazanem podać do wiadomości nazwiska tych nauczycieli, którzy dopomogli Kochańskiej do rozwinięcia i okazania jej talentu. Głos jej był niewielki, ale dziwnie słodki, było to, jak mówiła p. Paulina Stróżecka Sobotowa „pół metra aksamitu“, ale co jeszcze w nim porywało, to prześliczna kantylena, niezwykłe opanowanie oddechu i najwybredniejsza muzykalność, której najzupełniej nic nie można było zarzucić. Kantylenę zawdzięczała Kochańska za pewne w znacznej mierze grze na skrzypcach, doprowadzonej już do znacznej wprawy, a muzykalność rozwinęła biorąc udział w grze na skrzypcach w zespole koncertowym Gal. Tow. Muzycznego i korzystając z bezcennych wskazówek dyr. K. Mikulego, który każdy utwór umiał w najdrobniejszych szczegółach wycyzelować. Co do emisji głosu nie było widocznie w początkach najdrobniejszego błędu, kiedy ten głos tak się potem wspaniale rozwinął.

Z pamięcią Kochańskiej niechże więc złączona będzie i pamięć nazwisk jej pierwszych kierowników: profesorki Destino, prof. Zygmunta Bruckmana, prof. Stengla i dyr. Karola Mikulego, a zarazem tego, który jej pierwszy dał zarobek, prof. Kornela Kaweckiego.

Z WYDAWNICTW

„Arkady“

Szósty, październikowy zeszyt tego wytwornego miesięcznika przynosi na wstępie doskonały artykuł Cz. Olszewskiego, przypominający bogatą twórczość zgasłego przed siedmiu laty, a zapomnianego dziś potrochu **S. Noakowskiego**, z reprodukcjami kilku celniejszych jego dzieł.

Uwagi St. i Z. Dziewulskich na temat stylu budowy **schronisk** oraz M. Pszenickiej o **Szałasach narciarskich** zainteresują nietylko fachowców, ale i szerokie koła miłośników przyrody.

Na szczególne podkreślenie zasługuje artykuł o **Koronkach** z całym szeregiem ciekawych, a technicznie pomrostu świetnych ilustracyj. Urok warszawskiego **Powiśla** wyczarowuje Jan Szancer, a to w związku z projektowaną budową bulwarów mających wreszcie zmienić oblicze tej, dotychczas tak po macoszemu traktowanej części stolicy.

Bogatą treść uzupełniają interesujące uwagi W. Telakowskiej **„O kolorze“**, oraz obszerne sprawozdanie z **Wystawy drogowej.**

W parze ze starannie dobraną i troskliwie opracowaną treścią idzie strona graficzna, tak piękna, iż „Arkady“ z pełną słusznością nazwać można jedynem w Polsce wydawnictwem tego typu, zakrojonem na prawdziwie europejską miarę.

Skład główny na Lwów: Księgarnia B Połonieckiego. Cena - szytu 3 zł.

Wśród czasopism

W 25-tą rocznicę zgonu Marji Konopnickiej doskonały artykuł o poecie napisał dr. Władysław Florjan w tygodniku *Reduta — Tydzień Polski* (Nr. 38). Konopnickiej dzieje się krzywda:

Konopnicką współcześni krótkiem załatwili hasłem: „Była poetką nędzy społecznej i orędowniczką ludu“ — powtarzali nieustannie i przygodni i fanatyczni wielbiciele jej talentu. Ta naskórkowa ocena, ten pośpieszniej ubity zrąb syntezy, choć był, jak na owe czasy, aktem hołdu, wyróżnienia i uznania wysokiej miary, oddał Konopnickiej iście niedźwiedzią usługę; zredukował ją w sądach szerokiego ogółu do owego orędowania ludowi i przycierania łez poetyckich nad objawami nędzy — innej Konopnickiej nie widział, nie uznawał.

I dzisiaj zresztą sprawa rozszerzenia perspektywy i obserwacyjnej i wartościującej nawet w okolicznościowym artykule wydaje się wcale aktualną. Skróty pospieszne z dziwną bowiem trwałością do Konopnickiej przyrosły. A przecież każde pokolenie może w niej nowe warstwy odkrywać, po swojemu ją aktualizować, czytać ją nie z przymusu jako „obowiązującego klasyka“, jako patrjotyczną żagiew lat minionych uszanować, ale może z niej obficie łowić pierwiastki żywe i wolne od historycznego kredytu.

Ażeby wyjść z tradycyjnego kręgu opisów właściwości pisarskich Konopnickiej, trzeba koniecznie, choć na chwilę, zapomnieć o owem orędownictwie ludu i roztkliwionem nad nędzą sercu poetki. Nie oznacza to, że można te rysy jej twórczości pochopnie przekreślić, były bowiem one zbyt pojemnemi składnikami jej dorobku; trzeba tylko zgóry powiedzieć sobie, że nie wyczerpują one istoty jej talentu, a co ważniejsze, dla dzisiejszego czytelnika są naimniej ciekawą cząstką obfitego dorobku pisarki.

W dalszym ciągu autor wydobywa istotne, trwałe wartości poezji Konopnickiej:

Roztopienie własnej duszy w hasłach, nawołujących do postępu społecznego, było pierwszym ożywczym rumieńcem programowej twórczości Konopnickiej. Drugą taką cechę dodatnią dostrzegamy w nierzadkim u poetki krzepkim, męskim tonie i energicznym akcencie ideowym, towarzyszącym jej enuncjacjom programowym. Takie utwory, jak Bądź silnym, Odpowiedź, Fragment. Nie dziw się. Czy warto. Nie skarż się. Do młodej braci. Wstań o dziecię, choć tak bardzo już oddalone są od atmosfery, z jaką życiowo się wiązały, to jednak i dzisiejszego czytelnika poruszą i zadziwią wysoką zdolnością sugestywnego oddziaływania i trafnością wyboru argumentów w propagowaniu takiego czy innego hasła.

W zakończeniu Florjan przesadnie ocenia szerokość skali twórczej autorki *Pana Balcera:*

Kończymy podkreśleniem jednego ogólnego rysu, najbardziej ciekawego w osobowości twórczej poetki. Jest nim niepospolita nawet jak na wielkich pisarzy, rozwartość jej duszy, rozległość podnieť. Takiem bogactwem tematu, uczucia nastroju i tonu nikt jeszcze przed Konopnicką nie dysponował.

O wiele słuszniejszy jest sąd ostatni o pozytywistycznej ascezie poetki wobec swych przeżyć najbardziej osobistych. Z tej ascetycznej postawy płynął rys zmęczenia duchowego, tak częsty u racjonalistów.

Myśl Narodowa (Nr. 43) zawiera, jak zwykle, obfite *judaica*. Tym razem czytamy K. M. Morawskiego „Rzym i Judea“, oraz Zbigniewa Krasnowskiego „O władzy żydostwa nad światem“. — Prof. Pigoń ogłasza w dalszym ciągu nieznane listy C. Norwida (do Mickiewicza i Lenartowicza).

Piękny wiersz Kazimiery Iłłakowiczówny pt. „Inna jesień“ jest ozdobą numeru. Poza tem dowcipy polityczne, porozmieszczane — jak zawsze — w kilku rubrykach (Na marginesie, Na widowni, Głosy).

Prosto z mostu (Nr. 43) przynosi Józefa Bliźińskiego „Trzy listy o „Panu Damazym“, wiersz K. Dobrzyńskiego pt. „Gwiazdy“, St. L. Centkiewicza „Lifar o Polakach“. Dalej w numerze artykuł pióra St. Józefowicza o powieści sowieckiej, Fr. Lutyka „W mrokach podświadomości“, Jerzego Prussa „Z dziejów tajnej policji“, Michała Szymańskiego „Tam gdzie urodził się i umarł Czarniecki“, Jana Korolca „Odpowiedź megalomana“. Ciąg dalszy powieści Al. Świętochowskiego „Twinko“, feljeton Wojciecha Wasiutyńskiego, fragment mającej się ukazać książki Mirko Jelusicha „Cromwell“, oraz stały dział aktualjów, jak przegląd prasy, wycinanki, recenzje z książek, muzyczne, filmowe, panoptikum i kroniki dopełniają całości numeru.

Przykre wrażenie robi artykuł p. Korolca pt. „Odpowiedź megalomana“. Autor polemizuje z Leonem Kruczkowskim, któremu słusznie wytyka niezrozumienie ideologji narodowej. Niestety, p. Korolec popada przy tem w mistykę historjozoficzną, apoteozuje wolność szlachecką i zachwyca się Stanisławem Orzechowskim, słynnym warchołem z XVI wieku. P. Korolec używa takich kwiatków stylowych, jak np. „świetlane oblicze ducha polskiego“. Jeśli to „świetlane oblicze“ ma się objawiać w takich niepoczytalnych awanturnikach, jak Orzechowski, to pragnienia p. Korolca zasługują nie tyle na miano megalomanji, ile tromtadracji.

„Z przeszłości naszej i obcej“ *)

Kazimierz Chłędowski (1843—1920) należy do najpoczytniejszych między niebeletrystami pisarzy polskich XX wieku. Zdobył popularność na schyłku swej karjery urzędniczej i literackiej, kiedy jako emerytowany minister dla Galicji pokusił się o odmalowanie w szeregu książek życia Włoch renesansowych, barokowych i rokokowych. Książki te znajdują się na pograniczu powieści i historji ścisłej. Ich autor, ze studjów prawnik, z zawodu urzędnik, nie rościł sobie pretensyj do naukowego odtworzenia przeszłości Italji, którą głęboko ukochał i która mu, zdaje się, dała moc niezapomnianych wrażeń estetycznych. Utalentowany feljetonista i essay'ista, z amatorstwa zresztą, patrzył na dzieje miast włoskich, na Rzym, Ferrarę, Neapol, Sienę, pod kątem osobistych zamiłowań, nie krytycyzmu dziejopisa. Jako popularyzator, miał wolną rękę w doborze materjału, mógł sobie pozwolić na pewne jednostronności, na fragmentaryczne uwzględnienie niektórych dziedzin i źródeł, pominięcie zaś innych ,co u historyka - naukowca byłoby karygodne.

Robiono z tego powodu Chłędowskiemu zarzuty, przykładając do jego dzieł miarę niewłaściwą, za wysoką. Większość zaczytywała się w jego książkach, pochłaniała je tak, że n. p. „Dwór w Ferrarze“ doczekał się 3 wydań, „Rzym, ludzie odrodzenia“ aż 4 wydań, a mniejszość gorszyła się nielicznemi zresztą u niego kartami, przypominającemi barwą słynne, monachijskie „Sittengeschichte“ Fuchsa. Pewnej, nierażącej wszakże predylekcji do tematów obyczajowych (a mało zwykle obyczajowych), zawdzięcza niewątpliwie Chłędowski częściowo swoje powodzenie. Gdyby dużo pisał o polityce, lub zapuszczał się w rozbiory dzieł sztuki, rychlejby znudził, niż opowiadając o kulturze towarzyskiej i życiu prywatnem różnych ówczesnych osobistości.

Pozostanie faktem, że Chłędowski mimo dość kapryśnej kompozycji swych książek, braku proporcji w rozkładzie materjału, konwencjonalizmu w charakterystykach i dowolności w korzystaniu z opracowań i źródeł, — zrobił jeszcze stosunkowo najwięcej dla popularyzacji historji Włoch dawnych w Polsce, rozszerzył jej znajomość wśród inteligencji naszej. Jego młodszy kolega w ministerstwie i jeden z następców w fotelu ministerjalnym, Zdzisław Morawski, nie miał tego szczęścia, by swoimi studjami z „Sacco di Roma“ na czele trafić wszędzie i rozpowszechnić się dalej, choć był pisarzem i głębszym i wykwintniejszym od Chłędowskiego. Ten drugi zyskał na swoim odcinku analogiczne powodzenie, jakiem dziś cieszy się Wasylewski, bliski mu zresztą nastawieniem duchowem, światopoglądem i rodzajem pisarskim, jednak nie w tym stopniu, co np. Hoesick.

Mało komu wiadomo, że Chłędowski nie dopiero po 60-tce imał się pióra, mógł się bowiem jeszcze przed 40 rokiem życia wykazać znacznym dorobkiem publicystycznym, znany był także z ciętych satyr, nowel, a nawet zapomnianych już doszczętnie powieści. Dobrze przeto uczyniło „Ossolineum“, podejmując kompetentną ręką dyr. Bernackiego wybór wcale obfity owych „młodszych“ prac Chłędowskiego i udostępniając je w okazałym, pięknie ilustrowanym i luksusowo wydanym woluminie.

„Opuscula“ te Chłędowskiego są plonem jego „otia - negotia“ w charakterze komisarza Namiestnictwa lwowskiego przed rokiem 1881, tj. przeniesieniem z awansem do Wiednia. Pracowity, o bajecznej łatwości pióra, rzutkości pomysłów i wyróżniających się zdolnościach narratorskich urzędnik, zasilał stale kilka czasopism i zaliczał się do cenniejszych współpracowników oficjalnej „Gazety Lwowskiej“ z jej dodatkiem: „Przewodnik Naukowy i Literacki“. Dziwi nas obecnie i frapuje owo przerzucanie się Chłędowskiego z tematu na temat, rutyna w ich „odrabianiu“, nadewszystko zaś płodność, z jaką referent biurowy wyrzucał z siebie artykuły, szkice, nawet formalne rozprawy historyczno - literackie.

Bo urasta do ich wyżyny to, co dał jako przyczynki do dziejów Galicji. Więc oprócz przedstawienia warunków w jakich się dokonało zajęcie kraju przez Austrjaków 1772 r. i początków rządów namiestnikowskich hr. Pergena, tudzież nieznanych szczegółów o traktacie handlowym między Polską a Austrją z 1775 r., — najdłuższy w całym zbiorze omawianym, 120-stronicowy przegląd najważniejszych faz walki Galicji z centralizmem Wiednia w latach 1860—1880, zakończonej uzyskaniem, niezupełnej coprawda, ale dość rozległej autonomji. Chłędowski zdaje o tem relację bezpośrednią, jako świadek naoczny, posługując się własnemi wspomnieniami i prasą ówczesną, pisząc pod świeżem wrażeniem zmagań owych, jeszcze bez perspektywy historycznej. Sam przyznaje, że „o krytykę narazie nie chodzi, na nią zawsze dość czasu, ale o notowanie faktów, o pochwycenie obrazu, jaki się nam przedstawiał, o ułatwienie zrozumienia rzeczy pisarzom późniejszym. Nam pomaga pamięć, łączy fakty bez żadnej trudności“ (str. 52). Autor sporządza bilans walki o autonomję do 2 marca 1867, kiedy Zyblikiewicz skłonił lwowską komisję sejmową do porzucenia pierwotnej myśli adresu do tronu i obesłania wiedeńskiej Rady Państwa, co Chłędowski zowie „jednym z największych aktów patrjotycznych Zyblikiewicza“ (171). Natomiast Smolkę, przewódcę opozycji demokratycznej, mianuje pogardliwie „dyktatorem lwowskiej ulicy“ (183), co mu zresztą nie przeszkadza chwalić gdzieindziej w okolicznościowym artykule Smolki za jego takt polityczny i „poczytać za prawdziwe szczęście, że taka osobistość istniała“ (481). O słynnej rezolucji sejmowej, domagającej się wyodrębnienia Galicji z organizmu Cislitawji na wzór Węgier, twierdzi Chłędowski, że „była jednem z tych nieudanych dzieł politycznych, którego się sami autorowie po części milcząco wyprzeć musieli i nie powiemy, aby sztuczne utrzymywanie go na widowni nie wpływało chwilowo szkodliwie na rozwój w Galicji stosunków politycznych“ (174).

Z innych feljetonów autora wyziera gromadka ciekawych, przeważnie zapomnianych już postaci, które ożywają pod piórem Chłędowskiego i którym przyglądamy się z ciekawością. Rozalja z Chodkiewiczów księżna Lubomirska, ofiara terroryzmu francuskiego, i jej córka „Olesia“; cesarz Franciszek I we Lwowie 1817 r.; grecysta Józef Sygiert, bibljotekarz J. M. Ossolińskiego i kolega Lindego w tym „urzędzie“, poeta - tłumacz; ks. proboszcz jarosławski, kanonik Siarczyński, suchy i nudny historyk „a przemiły człowiek; brat autora, Walenty Chłędowski, redaktor „Haliczanina“; adwokat Józef Dzierzkowski, inicjator pierwszego pisma liter. we Lwowie i dyr. J. N. Kamiński na tle ówczesnego świata liter.; dwa pokolenia Krasickich; dwór Czartoryskich w Sieniawie po r. 1812; sylwetka Fredry w oczach „towarzystwa“ i kół mu bliskich do końca; wspomnienia uniwersyteckie z Pragi, — oto, co jest przedmiotem uwagi Chłędowskiego wśród „poloników“.

A z rzeczy i twórców cudzoziemskich rozprawia o T. Carlyle, apostole kultu bohaterów w historji; artykuł Chłędowskiego jest obok szkicu Krzemińskiego o ideałach Carlyle'a, jedyną o nim dotąd polską pracą poważniejszą. Kilka rysów osobistych, dotyczących W. Hugo, Zoli i inż. Lesseps'a, tudzież przegląd losów historycznych paszkwilu polskiego i kampanji przeciw fircykom, poprzedza wywody o malarzach tak wybitnych, jak Matejko (i jego „Iwan Groźny“), Kaulbach, Wereszczagin i Munkascy, o sławnej Sarze Bernhardt i tworzy przejście do grupy ostatniej: „Z dziejów włoskiej kultury“.

Tu odnajdujemy (już w 1874 r.!) przyszłego popularyzatora renesansu i baroku italskiego. Ujawnia go artykuł o Baltazarze Castiglione i „Il cortegiano“, pierwowzorze Górnickiego, o ewolucji obyczajowej kobiety weneckiej i zwłaszcza o nepocie Aleksandra VIII, kardynale - mecenasie Ottobonim, jego tajemniczym kliencie baronie F. Stoschu i antykwarzach florenckich. Duże oczytanie w tej dziedzinie i swoboda, z jaką autor obracał się na terenie doskonale mu znanych z autopsji Włoch, pasowało go wcześnie do roli, która mu wskutek zbiegu okoliczności życiowych aż na starość przypadła. Pierwszorzędnym stylistą Chłędowski nie był. Wrodzona swada narratorska idzie u niego w parze z niedbałością językową. Jego gładkie, potoczyste wysłowienie nie wykazuje cech twórczych indywidualności pisarskiej i temperamentu nie błyszczy przymiotami estetycznemi. Długoletnia praca publicystyczna uczyniła styl Chłędowskiego dość „gazeciarskim“. Pisał zbyt szybko, by dbać o poprawność, a urzędowa styczność z niemczyzną i przebywanie w obcem środowisku wiedeńskiem psuły chwilami jego polszczyznę nalotem germanizmów. Stąd takie fatalne zwroty, jak „kraj potrzebował wyrazić swe zdanie“ (str. 183) lub „zrobi cię uważnym“ (228). Mimo jednak te skazy, proza Chłędowskiego, daleka od doskonałości, ujmuje prostotą, jasnością i przystępnością, lekka i łatwa do strawienia, odznacza się zaletami popularyzatorskiemi. W tem jedna z głównych tajemnic niesłabnącej poczytności tego pisarza. *C. L.*

*) Kazimierz Chłędowski: *„Z przeszłości naszej i obcej“*. Lwów 1935, wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, dwa tomy w jednym, str. 711 + VIII, w dużej 8-ce, Z 69 ilustracjami. Cena egz. broszur. 30 zł.

Nowoczesna alchemja

Odkrycie i dokładne zbadanie ciał tzw. promieniotwórczych, dokonane z końcem zeszłego wieku przez małżonków Curie, a udoskonalone następnie przez samą Curie - Skłodowską, — do wiodło, że dawne marzenia alchemików o transmutacji materji nie były jednak utopją.

Pozwoliło nam ono na wgląd w niesłychanie skomplikowaną budowę atomów, jak również na stwierdzenie tajemniczego procesu rozpadania się tych atomów, uważanych dotychczas za coś absolutnie stałego i niezmiennego.

Nauka jednak stanęła w obliczu innych zagadek: niewyjaśnionym pozostał sam proces rozpadania się atomów oraz przyczyny, które proces ten wywołują.

Jeszcze przed dwudziestu laty wielki uczony, Soddy, pisał na ten temat: „Wszystkie podejmowane dotychczas próby w kierunku modyfikacji lub zupełnego zniesienia radjoaktywności jakiegoś ciała, kończyły się niepowodzeniem. Jak dotychczas, jest to rzeczą nie możliwą, rzeczą, której współczesna wiedza dokonać nie może, — a której jednak dokonać musi, o ile chcemy zgłębić i w pełni wykorzystać całą wartość tych odkryć“.

Otóż dziś można ten postulat uczonego fizyka uważać za zrealizowany, — a to dzięki pracom i odkryciom dokonanym w paryskim Instytucie radowym przez p. Irenę Curie (córkę M. Curie - Skłodowskiej) i jej męża, p. F. Joliot'a.

* * *

Odkrycie to polega na tem, że obecnie można każde ciało, dotychczas zupełnie neutralne, uczynić radjoaktywnem, — przyczem uzyskuje się elementy nowe, normalnie w naturze nie istniejące, a odznaczające się specjalną formą i specjalnemi właściwościami promieniotwórczemi.

Zanim omówimy istotę tego odkrycia i jego znaczenie dla nauki, — nie od rzeczy będzie przypomnieć zasadnicze dane dotyczące radjoaktywności.

Ciała radjoaktywne odznaczają się dwiema charakterystycznemi cechami. Jedną z nich jest pewien stały okres czasu, w ciągu którego aktywność danego ciała zmniejsza się o połowę. Okres ten dla radu wynosi 1800 lat, — co oznacza, że jakakolwiek masa tego ciała zmniejsza się po 18 wiekach do połowy, po 36 wiekach do jednej czwartej, po 54 wiekach do jednej ósmej pierwotnej objętości itd.

Drugą, niemniej charakterystyczną cechą jest sama istota tego promieniowania: każde ciało radjoaktywne podczas rozpadania się wytwarza pewne produkty o zawsze jednakim składzie. Do niedawna znaliśmy tylko trzy produkty takiego rozpadania się atomów: ciałka *alfa*, naładowane elektrycznością pozytywną, ciałka *beta* (nazywane obecnie *negatronami*) naładowane elektrycznością negatywną, oraz promienie *gamma*, z charakteru swego podobne do promieni świetlnych i do promieni Roentgena, nie przewodzące zupełnie elektryczności.

Przed czterema laty, w trakcie badania sztucznego rozbijania atomów i promieni kosmicznych, stwierdzono jednak istnienie jeszcze dalszych dwóch elementów składowych materji. — Jednym z nich jest *positron*, różniący się od negatronu tylko tem, że jest naładowany elekrycznością pozytywną, — oraz drugi, nazwany przez Chadwicka *„neutronem"*, a pozbawiony zupełnie ładunku elektrycznego.

Dzisiaj wiemy, już, że neutron jest istotnym składnikiem jądra atomowego, — a o wielkiem jego znaczeniu pomówimy jeszcze dalej, w związku z najnowszemi doświadczeniami włoskiego fizyka, H. Fermiego.

* * *

Zobaczmy teraz, jak wyglądały doświadczenia, przeprowadzone przez małżeństwo Curie - Joliot.

W pierwszym wypadku cieniutka blaszka aluminium została poddana bombardowaniu przez cząsteczki *alfa*, wysyłane przez radjoaktywny pierwiastek *„Polonium"*. Po zaprzestaniu bombardowania pokazało się, że aluminjum nabyło i zatrzymało przez przeszło 15 minut właściwości promieniotwórcze, których natężenie zmniejszało się okresach 3 i ćwierć minuty, za każdym razem o połowę. Ta właśnie okresowość, tak charakterystyczna dla ciał radjoaktywnych, dowodzi niezbicie, że mamy tu do czynienia z typowym objawem promieniotwórczości.

Gdy jednak wśród znanych nam ciał radjoaktywnych żadne nie posiada takiego okresu 3 i ćwierć minuty, — zatem nasuwa się logiczny wniosek, że aluminium, pod wpływem bombardowania go przez polonium, zamieniło się na zupełnie nowy element radjoaktywny.

Podobny wynik dało bombardowanie kwasu borowego cząsteczkami *alfa* ,przyczem okres zmniejszania się radjoaktywności wynosił w tym ostatnim wypadku 14 minut.

Doświadczenia te wywołały zrozumiałe zainteresowanie w świecie uczonych. We wszystkich laboratorjach zawrzała gorączkowa praca. Tak np. w Cambridge trzej fizycy, Cockroft, Gilbert i Walton skonstruowali specjalny, ogromnie skomplikowany aparat, zapomocą którego poddawali rozmaite ciała bombardowaniu, nie zapomocą cząsteczek *alfa*, lecz protonów. W ten sposób zdołali między innemi uzyskać radjoaktywny węgiel, o okresie 10 i pół minut.

* *

Wszystkie te doświadczenia mają przedewszystkiem olbrzymią wartość czysto naukową, przybliżając nas do zrealizowania odwiecznego marzenia alchemików: transmutacji metali.

Jak wiadomo, ilość pierwiastków jest ściśle ustalona. Wedle tabeli Mendelejewa jest ich ogółem 92, a klasyfikacja ich następuje na podstawie ładunku elektrycznego ich jądra.

Otóż pod działaniem promieni radjoaktywnego „Polonium" — aluminium zamienia się w nowe ciało, odpowiadające izotopom fosforu w tabeli Mendelejewa, — a przytem radjoaktywne. Ciało to, nazwane przez małżonków Joliot „radjofosforem", jest niestałem, ulegając skolei transmutacji na izotop krzemu.

Są to, narazie, tylko teoretyczne supozycje i wnioski, czekające jeszcze na dokładniejsze sprawdzenie.

Faktem jednak niezaprzeczonym pozostaje że już dziś można zrobić radjoaktywnemi rozmaite ciała, które tych właściwości nie posiadają, jak aluminium, węgiel, bor itd., — oraz. że właściwości te utrzymują się tylko przez krótki stosunkowo okres czasu. Otwiera to nowe horyzonty, zwłaszcza dla medycyny, która dotychczas musiała kuracje radem przeprowadzać bardzo ostrożnie ,z uwagi na długotrwałe działanie preparatów radowych, co mogło wywołać nieraz spalenie i zniszczenie tkanek.

Dzięki nowym ciałom radjoaktywnym o ograniczonem trwaniu ich działania, będzie można stosować w terapji odpowiednie ich dozowanie, zapobiegające niemiłym, a nieraz nawet groźnym komplikacjom.

* * *

Dalszym etapem na tej drodze transmutacji materji są doświadczenia wspomnianego już powyżej fizyka włoskiego, Henryka Fermi.

Bombardował on neutronami berylu rozmaite pierwiastki, badając uważnie wyniki tej niezwykłej kanonady. Było to strzelanie na ślepo; nie potrafimy bowiem dotychczas tak kierować pociskami neutronów, by każdy z nich trafiał wprost w jądro bombardowanego objektu. Ale wśród gradu tych pocisków niejeden jednak trafia do celu. A wówczas następują przemiany pierwiastków, — zupełnie niezwykłe, urągające niemal prawom przyrody i ustalonym kanonom. W ten właśnie sposób zdołał Fermi zamienić uran, ostatni i najcięższy pierwiastek w tabeli Mendelejewa, oznaczony cyfrą 92, na jeszcze cięższy, a nieistniejący w przyrodzie, pierwiastek 93-ci. Jest to jednak efemeryda, — a uran, po całym, krótkim cyklu tych nienaturalnych przemian, zamienia się w pozbawiony radjoaktywności ołów, jako ostatnie ogniwo w tym łańcuchu.

Doświadczenia Fermiego, przyjęte początkowo sceptycznie przez świat uczonych, znalazły potwierdzenie w dalszych pracach i badaniach uczonych berlińskich, C. Meitner i Hahna.

I one mają, — jak dotychczas — znaczenie czysto teoretyczne. Dowodzą jednak, że na drodze transmutacji materji nauka nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa, — że owszem, przygotowani możemy być na liczne jeszcze, sensacyjne odkrycia i niespodzianki. *(kr.)*

Z żartami jak z solą...

Chlebem i solą witali nasi praojcowie przybywających władców, a piękny ten zwyczaj utrzymał się do dziś dnia. Czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą, — mówi nasze staropolskie przysłowie. — A możnaby zacytować cały szereg podobnych. Wszystkie one wskazują na to, że sól od najdawniejszych czasów uważaną była za artykuł pierwszej potrzeby, równie ważny i niezbędny do życia, jak chleb.

Dopiero od niedawna nastąpiła pod tym względem zasadnicza zmiana. Wpłynęły na nią obserwacje poczynione przed trzydziestu dwoma laty przez wybitnego lekarza internistę, dr. Widala, nad pacjentami, dotkniętemi chorobą nerek, połączoną z obrzękami. Te ostatnie powstają z tego powodu, iż skutkiem niewystarczającej funkcji nerek jako organu wydzielczego następuje retencja soli i wody, a zbytnie nagromadzenie się tych dwóch ciał w tkankach organizmu wywołuje obrzęk.

Dr. Widal zastosował wobec tych pacjentów odpowiednią djetę, ograniczając ilość płynów i soli do minimum, a nawet eliminując kompletnie sól z codziennego „menu". Wobec nadspodziewanie korzystnych wyników tej kuracji poczęto coraz częściej aplikować djetę bezsolną, i to nietylko w chorobach nerek, ale i w chorobach serca, połączonych z obrzękami, powstającemi zawsze również na tle niedostatecznej funkcji nerek.

Pokazało się jednak, że kuracja ta nie zawsze odnosi skutek. I owszem, przy niektórych chorobach nerek okazało się koniecznem właśnie zwiększenie normalnej, dziennej dawki soli, której obecność ułatwia i przyspiesza wydzielanie przez nerki rozmaitych szkodliwych dla organizmu i nie ulegających asymilacji produktów. Dzisiaj lekarz internista dopiero na podstawie gruntownej analizy laboratoryjnej może stanowczo orzec, czy w danym wypadku trzeba pacjentowi zabronić zupełnie używania soli, czy zwiększyć jej normalną dzienną dawkę, czy też nie stawiać na tym punkcie żadnych wyjątkowych ograniczeń.

* * *

Bo jednak faktem jest niezaprzeczonym, że sól (względnie chlorek sodu, wedle nomenklatury chemików) jest nam do życia niezbędnie potrzebną. Krew nasza zawiera normalnie w jednym litrze 7 gramów soli i stosunek ten — w zdrowym organizmie — nigdy się nie zmienia. Rolę regulatora spełniają tu właśnie nerki: jeżeli spożywamy więcej soli, nadmiar jej zostaje zawsze przez nerki wydzielony.

Jaką jest rola tej soli w naszym organizmie? Otóż przedewszystkiem dzięki soli zatrzymuje organizm niezbędne do życia ilości wody, a krew swą normalną gęstość, staje się izotoniczną.

Znanym zabiegiem w wypadkach ciężkich krwotoków są injekcje tzw. fizjologicznego roztworu soli (7:1000), celem podwyższenia ciśnienia krwi.

W krajach podzwrotnikowych, gdzie skutkiem wzmożonej transpiracji skóry organizm traci znaczne ilości wody, spożywanie większych ilości soli jest taksamo nieodzowną rzeczą, jak zaspakajanie pragnienia. Toteż racja soli dla żołnierza w suchym klimacie tropikalnym oznaczoną jest na 30 gramów, podczas gdy normalnie nie przekracza ona 17 gramów.

* * *

Jak wiadomo, solimy wszystkie prawie nasze pokarmy i trudno nam przychodzi obejść się bez tej przyprawy. Ale w gruncie rzeczy jest to rzeczą możliwą i tego rodzaju djeta niewiele, a bo wcale nic nam by nie zaszkodziła. Bo niemal wszystkie nasze środki spożywcze zawierają mniejszy lub większy procent soli. Więcej jej jest w potrawach mięsnych, mniej w jarzynach.

Tem się też tłómaczy, że zwierzęta wyłącznie trawożerne potrzebują dla uzupełnienia swego pożywienia pewnych ilości soli, którą też podaje się im jako sól bydlęcą do lizania. Znane też i obserwowane są wypadki, że np. w północnej Ameryce jelenie w pewnej porze roku odbywają wędrówki na przestrzeni 400 do 600 kilometrów, aby dostać się w okolicę słonych jezior.

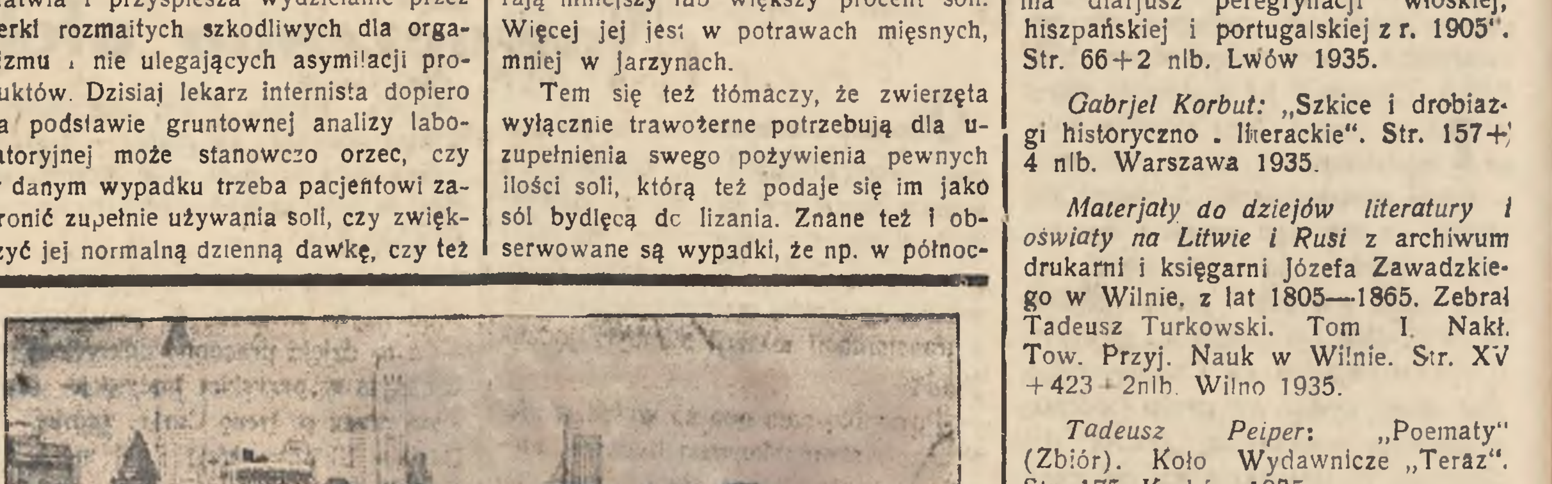
Z drugiej znów strony wiadomo nam o pewnych szczepach wyłącznie mięsożernych, które nie znają zupełnie użytku soli.

Wieśniak, którego normalne pożywienie składa się przeważnie z produktów roślinnych, bez soli obejść się nie może. Nie jest to jakiś kaprys kulinarny, lecz poprostu koniecznością organiczną i fizjologiczną. Stąd sól była zawsze przez lud tak wysoko cenioną i zajmuje tak ważne miejsce w jego obyczajach, zwyczajach i przysłowiach.

Więc nie alarmujmy się niepotrzebnie, nie wyrzekajmy się używania soli, w normalnych granicach, zakreślonych przepisami kulinarnemi!

Miarodajnem niech nam i tu będzie stare przysłowie: „Z żartami, jak z solą, nie przesól, bo bolą!"...

(dr. L.)



Nowojorskie drapacze chmur.

Nowe książki

Ateneum Wileńskie, czasopismo naukowe, poświęcone badaniom przeszłości ziem Wielkiego X. Litewskiego. Rocznik X. Wydawnictwo Wydziału III Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Str. VIII + 580. Wilno 1935.

Władysław Fronsberg Babel: „Ubezpieczenie na wypadek braku pracy w Wielkiej Brytanji". Archiwum Towarzystwa Naukowego we Lwowie, Tom XV, Zeszyt 2. Str. 246. Lwów 1935.

Dr. Tadeusz Feliks Hahn: „Anonima diarjusz peregrynacji włoskiej, hiszpańskiej i portugalskiej z r. 1905". Str. 66+2 nlb. Lwów 1935.

Gabrjel Korbut: „Szkice i drobiazgi historyczno - literackie". Str. 157+4 nlb. Warszawa 1935.

Materjały do dziejów literatury i oświaty na Litwie i Rusi z archiwum drukarni i księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie, z lat 1805—1865. Zebrał Tadeusz Turkowski. Tom I. Nakł. Tow. Przyj. Nauk w Wilnie. Str. XV +423+2nlb. Wilno 1935.

Tadeusz Peiper: „Poematy" (Zbiór). Koło Wydawnicze „Teraz". Str. 175. Kraków 1935.

Stanisław Pilch: „Wpływ Tacyta na powieści rzymskie Kraszewskiego". Odbitka z „Przeglądu Klasycznego". Lwów 1935.

Stanisław Pilch: „Wpływ Tacyta na powieści rzymskie Choińskiego". Odbitka z kwartalnika „Eos". Lwów 1935.

Roman Piotrowicz: „Zagadnienie abisyńskie a polskie tezy kolonjalne". Str. 82. Warszawa 1935.

Franciszek Surówka: „Panta rhei". Str. 120+5 nlb. Warszawa 1935.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Peleryny odniosły zwycięstwo na całej linji. Nosi się je od rana do wieczora, — do sukien sportowych, wizytowych i strojnych toalet. Najefektowniej wygląda oczywiście futrzana, zwłaszcza, gdy zrobiona jest np. z gronostajów czy choćby lisów. A krój ich jest bardzo oryginalny: lisy układane w podłużne pasy, jeden obok drugiego, — albo znów gronostaje szyte w pasy poprzeczne.

Bardzo dytsyngowanie wygląda przy wieczorowej sukni długa peleryna z czarnego aksamitu.

— Futrzane żakiety mogą być zupełnie luźne, lub przepasane metalowym paskiem. W tym ostatnim wypadku mają u dołu krój lekko kloszowy.

— Nowością są kapelusiki futrzane, przypominające poniekąd czapeczki dżokejów. Ameryka lansuje kapelusze futrzane, w których główka jest z jednego, a rondo z innego gatunku futra.

— Zarękawki futrzane przypominają wyglądem swym torebki myśliwskie. Zaopatrzone są zazwyczaj w skórzaną rączkę, tak, że można je nosić zupełnie jak torebkę lub wsunąć pod ramię, o ile ich chwilowo nie potrzebujemy.

— Bardzo strojnie i elegancko wygląda kasak dość długi, o kroju kloszowym, przepasany szerokim paskiem. Obok tego widzi się przy sukniach wizytowych i bolerka bez rękawów, ze złotej lub metalowej siatki, dość luźne.

— Jak już wspomnieliśmy, przyszła obecnie moda na grube sznury, zastępujące pasek. Sznury takie służą nawet niekiedy do obramowania dekoltu.

— Do sukien popołudniowych nosi się znów czarne pantofelki lakierowane, w ostatnich czasach nieco zapomniane. Do wyjścia na ulicę najodpowiedniejszym będzie półbucik ze skóry krokodylej, — w kolorze bronzowym lub czarnym.

— Do toalet wieczorowych — sandałki złote lub srebrne. Dopuszczalne są jednak i pantofelki na wysokich obcasach. Najładniej wyglądają pantofelki z błyszczącej crepe-satin, dobrane kolorem do toalety.

— Średniowieczne czasy przypominają szerokie rękawy sukien wizytowych, uformowane z trzech dużych buf. W innych modelach tych sukien rękaw jest zupełnie luźny i szeroki, ujęty dopiero na samym dole, w przegubie ręki.

— Coraz częściej pojawiają się siatki na włosy, zrobione ze sznelki, lub złotych czy srebrnych nitek.

Perfumy

Jak należy się perfumować? Nie wszystkie kobiety potrafią na to pytanie odpowiedzieć we właściwy sposób, — a często są wypadki daleko posuniętej przesady.

Wieleż to razy, czy to na jakiemś zebraniu, czy w teatrze lub cukierni owionie nas silny zapach perfum, ciągnący się smugą po przechodzącej obok pięknej pani! Nie świadczy to absolutnie o dobrym smaku i guście danej osoby. Perfumować trzeba się bardzo dyskretnie i umiarkowanie, — pamiętając o tem, że perfuma ta przeznaczoną jest wyłącznie dla naszych najmilszych i najbliższych znajomych, z którymi się stykamy, — a nie dla ludzi, zupełnie nam obcych i obojętnych.

Wyrafinowane elegantki paryskie używają perfum w minimalnych tylko dawkach: po kropelce poza każdem uszkiem, parę kropel rozstartych we włosy i po kropelce na dłonie.

Natomiast większy niż u nas nacisk kładzie się w Paryżu na nacieranie całego ciała dobrą wodą toaletową, do której dodaje się parę kropel ulubionej perfumy. W ten sposób cała garderoba kobieca przesiąka subtelnym delikatnym zapachem, a w tem właśnie leży cały sekret: nie idzie o to, by kobieta pachniała zdaleka jak sklep kosmetyczny, lecz by wszystkie przedmioty których używa i z któremi się styka, przeniknięte były tą specjalną, właściwą jej i charakterystyczną atmosferą delikatnego zapachu.

Taksamo też wkładać należy odpowiednie saszetki perfumowane między bieliznę, do pudełka z rękawiczkami itp. Ale nie perfumujmy papieru listowego, — bo to już dawno, bardzo dawno wyszło z mody!...

Pamiętać też należy, że na materjałach jedwabnych z perfum łatwo powstają plamy.

Palimy w piecu...

Przedewszystkiem jednak sprawdzamy, czy kafle nie popękały. Jeśli tak — trzeba starannie pozalepiać wszystkie szpary, jeśli chcemy, aby piec rozgrzał się i długo trzymał ciepło.

Potem trzeba dokładnie oczyścić ruszta wygarniając z nich popiół. W ten sposób zapewniamy należyty dopływ powietrza do paleniska Popiół wybierać należy co drugi dzień, najlepiej rano, przed sprzątaniem.

Po ułożeniu na rusztach drzewa i węgla i zapaleniu go, — przymykamy górne drzwiczki, pozostawiając otwarte dolne. Jak długo węgiel się pali, — trudno określić. Zależy to od gatunku węgla i od dobroci pieca. Kiedy płomień wygasa, — zamykamy szczelnie górne drzwiczki. Dolne pozostawiamy otwarte aż do chwili, gdy żar, przeświecający przez ruszta, zaczyna przygasać.

Na ogrzanie jednego pokoju do temperatury 17—18 stop. wystarcza przeciętnie jednorazowo 8—10 kg. węgla Najodpowiedniejszym węglem do pieców pokojowych jest tzw. „kostka". Nie dajmy się przytem skusić niższą ceną węgla gorszej jakości, — pamiętając o tem że najekonomiczniejszym jest dobry węgiel z kopalń górnośląskich, o bardzo wysokiej wartości kalorycznej (przeciętnie około 7 000 kalorji).

Coś dla panów

Chociaż moda męska jest zdecydowanie konserwatywna i nie często ulega wybitniejszym zmianom, — to jednak każdy sezon przynosi coś nowego. Są to właściwie drobnostki, — ale one właśnie są prawdziwym miernikiem przy rozstrzygnięciu pytania, czy ktoś jest ubrany zgodnie z nakazem mody

Na ubrania sportowe i przedpołudniowe, do codziennej pracy najodpowiedniejszym będzie tweed. Marynarka lekko wcięta w pasie, plecy gładkie Szerokość spodni niezmieniona, natomiast „mansze-ty" odrobinę wyższe.

W ubraniach wizytowych przeważa kolor granatowy, w delikatne prążki. Mogą one być białe, a nawet czerwone. — co daje bardzo ładny a niezwykły efekt.

Krawatki przeważnie w kolorze jednolitym, cieplejszym od koloru ubrania.

Miejsce trenchów zajęły szerokie, luźne płaszcze z nieprzemakalnych materjałów, z dużemi naszytemi kieszeniami.

Format bucików uległ lekkiej modyfikacji: uległy one zwężeniu i wydłużeniu, szpice zaokrąglone, jednak nie ostre.

Hasłem dzisiejszej mody jest ubranie wygodne skromne, a doskonale skrojone i uszyte. Podobnie jak w modzie kobiecej, decydującą rolę gra tutaj — dobry majster krawiecki

Poradnik dla gosposi

POMIDORY Z GRZYBAMI

Osiem kartofli pokrajać w talarki i sparzyć ukropem. Dużą cebulę hiszpańską pokrajać w talarki również sparzyć. Dwie — trzy marchewki zlekka obgotować. pokrajać w plasterki. Ćwierć kilo lub trochę więcej grzybów borowików świeżych. pokrajać jak zwykle na jarzynę, sparzyć. Sześć dużych pomidorów, lub 8—10 małych oczyścić z pestek, wycisnąć z nich nadmiar soku, obciągnąć ze skórki, pokrajać w grube talarki. — Wszystkie te ingredjencje ułożyć warstwami w rondelku, w którym będą podane, dobrze wysmarowanym masłem. Na dno i na wierzch pomidory. Położyć jeszcze kawałek masła, nakryć i dusić ostrożnie, żeby nie przypalić. Kiedy kartofle są miękkie, potrawa gotowa, co trwa mniej więcej 25—30 minut. Jest to wyborna potrawa, ale potrzebuje sporo masła.

GRZYBY SUSZONE NA JARZYNĘ

Oczyszczone grzybki pokrajać cienko, gdy są słoneczne dni, rozsypać grzyby cienką warstwą na płótnie, suszyć na powietrzu na słońcu, często ruszać, aby równo i prędko schły, przez co będą białe, inaczej mogą zrobaczywieć. — W chmurne dni suszyć grzyby po obiedzie na blasze, na czystych arkuszach papieru, a także i w piecu. Odrazu grzyby nie uschną, należy przesuszać je jeszcze w dni następne.

Gdy są przeschnięte wsypać do woreczka, zawiązać lekko, powiesić nad kuchennem ogniskiem na kilka dni, poczem dopiero wsypać do blaszanych pudełek lub do słoju, zamknąć i przechować na zimę.

W zimie gotować można jak świeże przed gotowaniem zanurzyć je na dwanaście godzin w wodzie zimnej lub słodkiem mleku.

GRZYBY MARYNOWANE NA ZIMĘ.

Małe grzyby (borowiki) bez korzonków, wymyte i osączone na sicie. włożyć do rondla z pokrojoną cebulą, posolić i dusić na wolnym ogniu, mięszając aż nieco wyparują. Poczem ponakładać do słojów, zalać przygotowanym z korzeniami octem, obwiązać pęcherzem. Do użytku podawać wprost ze słoja.

Aby zabezpieczyć grzyby przed pleśnieniem należy je zalać topionem masłem. Zupełnie tak samo marynuje się rydze.

RYDZE KONSERWOWANE NA ZIMĘ W MAŚLE.

Pół kg. sklarowanego masła rozgrzać w dużym rondlu, aż się zacznie rumienić. Wrzucić do masła maleńkie rydzyki bez korzonków, starannie otarte lub wymyte i osączone na sicie, posolić i na ostrym ogniu smażyć bez przykrycia; gdy wyparują i nie będzie wcale w nich wody, wkładać gorące do słojów (masło powinno być na powierzchni na palec wysoko) obwiązać pęcherzem i przechowywać w chłodnem miejscu. Biorąc rydze do użytku, wybrać je z masła. zrobić sos śmietanowy, włożyć rydzyki i kilkakrotnie zagotować. Albo też wyrzucić na patelnię wyjęte z masła rydze dodać posiekanej cebuli, podlać śmietaną i zagotować.

SARNIA PIECZEŃ NA ZIMNO.

Wyżyłować sarninę, zbić mocno. natrzeć solą, zalać ciepłym octem. wsypać nieco korzeni i postawić na tydzień w zimne miejsce, przewracając często. Po wyjęciu z octu naszpikować słoniną i piec, polewając masłem. Sarninę należy dobrze obrumienić i jak wystygnie ubrać galaretą z cielęcych nóżek.



Na rewji mody w Longchamps sensację budziła wspaniała peleryna z 30 srebrnych lisów.



Najmodniejszy, zgrabniutki żakiet futrzany.

Z WYDAWNICTW

Nr. 42 „Bluszczu" rozpoczyna rzeczowy artykuł p. t. „Faktyczna głowa domu". Pozatem w dziale literacko-społecznym mamy korespondencję B. Kutnerówny p. t. „Jedziemy na Zielony Śląsk", obrazek E. Kobylińskiej-Masiejewskiej: „Dzień w szkole", szkic K. Bielańskiej: „Polska poezja we włoskiej sukience", korespondencję Z. Karczewskiej „Echa Poznańskie", dokończenie studium Tad. Hellera p. t. „Sybilla nadwiślańska", „Z życia ekranu". artykuł ekonomiczny „Inflacja i deflacja", przegląd prasy i aktualja kobiece.

W dziale „Muzyka na codzień" nuty do śpiewu „Pastereczka" Ryty Gnus do słów Konopnickiej.

W dziale „Nasz lekarz" — „Żylaki"

W działach „Ogrodnictwo i hodowla" i „Dom i gospodarstwo" — szereg przepisów i wskazówek aktualnych.

Estetyczne plansze mody i robót, wykonane w kolorach, oraz liczne jednobarwne ilustracje w tekście uzupełniają bogatą i urozmaiconą treść numeru

Koncerty Filharmonji lwowskiej w radjo

Zgodnie z opracowanym przez dyrektora E. Rudnickiego planem, — w sezonie jesienno - zimowym rozpoczęły wszystkie prowincjonalne rozgłośnie P. R. nadawać koncerty symfoniczne.

Na pierwszy ogień poszły Katowice, — poczem kolejno transmitowano koncerty takie z Poznania, Wilna i Krakowa. Obecnie przychodzi kolej na Lwów: pierwszy koncert nadany zostanie dnia 5 listopada br., — pod kierownictwem dyr. dr. Adama Sołtysa, a z udziałem Leopolda Muenzera ,jako solisty. W programie „Concerto grosso" Händla, „Suita" Czesława Marka oraz „Koncert Es-dur" Mozarta.

* * *

O wielkiem znaczeniu i wartości tych koncertów dla życia muzycznego całej Polski pisaliśmy już w swoim czasie. I naprawdę niepoważnie wyglądają podnoszone z pewnej strony zarzuty, jakoby dyrekcja P. R. „dla jakichś partykularnych ambicyj" poprostu „dezorganizowała całe życie muzyczne", „rzucała kłody pod nogi instytucjom ,mającym podobne zadania i cele".

Jeżeli można mówić o jakimś partykularyźmie, — to szukaćby go należało właśnie u tych nielicznych jednostek, które nie uznają muzyki poza... warszawską Filharmonją i zawistnem okiem patrzą na próby rozbudzenia czy ożywienia życia muzycznego na „prowincji". Cały ten zatarg z warszawską Filharmonją zbyt jest dobrze znany, by trzeba było do sprawy tej jeszcze raz powracać i wznawiać dyskusję na temat... monopolu muzycznego Warszawy.

* * *

Audycja lwowska, wyznaczona na dzień 5 listopada, budzi szczególne zainteresowanie w świecie muzycznym. Bo przecież Lwów ma piękną i zaszczytną tradycję, ma opinję najmuzykalniejszego miasta w Polsce.

Stąd przecież wyszli i Sembrich-Kochańska i Myszuga i Didur i Mossoczy. Tutaj tworzyli Gall, Niewiadomski, H. Jarecki, M. Sołtys.

Tutaj wykonano — poraz pierwszy w Polsce, przed Warszawą, takie wspaniałe dzieła jak Beethovena „Missa Solemnis" lub Bacha „Msza h-moll".

Piękną kartę w historji muzyki mają też opera lwowska i Polskie Towarzystwo Muzyczne, — podczas gdy zasłużone zespoły „Lutni", „Echa" i „Bardu" kultywują śpiew chóralny.

Z chwilą zwinięcia Opery, całe życie muzyczne miasta koncentrowało się we Filharmonji, prowadzonej początkowo przez Polskie Towarzystwo Muzyczne, następnie zaś przez Teatr miejski. Była to jednak zaledwie wegetacja: wobec szczupłej subwencji Filharmonja pracować mogła zaledwie przez pięć miesięcy w roku. Współpraca z Radjem, we formie koncertów symfonicznych umożliwia utrzymanie Filharmonji lwowskiej jeszcze przez jeden miesiąc dłużej. Ma ona pozatem ogromne moralne znaczenie, pobudzając Filharmonję naszą do intenzywniejszej pracy pod znakiem szlachetnej emulacji.

* * *

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że — zgodnie z życzeniem wyrażonem przez dyr. Rudnickiego, — audycje nadawane z poszczególnych Filharmonji mają posiadać charakter regjonalny. A więc: przedewszystkiem utwory regjonalnych kompozytorów, dyrygenci i soliści ile możności miejscowi.

Postulaty te, o ile idzie o Lwów, nietrudne są do zrealizowania. Mamy przecież dyrygentów tej miary, co dr. Adam Sołtys, Tadeusz Jarecki, Józef Lehrer, Antoni Rudnicki. Mamy pierwszorzędnych solistów, — żeby tylko wymienić H. Czaplińskiego, H. Ottawcwą, Leop. Muenzera, E. Steinbergera.

A co się tyczy regjonalnych kompozytorów, to prawdę Lwów żalić się może na „embaras de richesse". Prócz wspomnianych już powyżej, a tak ściśle związanych ze Lwowem J. Galla, St. Niewiadomskiego, H. Jareckiego, M. Sołtysa, — wymienić trzeba Czesława Marka, Tad. Jareckiego, Adama Sołtysa, Józefa Kofflera, Romana Palestra, Tadeusza Majerskiego, — oraz kompozytorów ukraińskich z Ant. Rudnickim i Wasylem Barwińskim na czele.

W ciasnych ramach ośmiu koncertów symfonicznych nie da się pomieścić całą bogatą twórczość tych wszystkich kompozytorów. Nie wszyscy oni zresztą poświęcali się specjalnie tworzeniu dzieł orkiestralnych, — żeby tylko wspomnieć o Gallu lub Niewiadomskim, których działalność koncentrowała się w pieśniach solowych i chóralnych.

Toż samo dotyczy i H. Jareckiego oraz M. Sołtysa, których zainteresowania kierowały się głównie ku operze, oratorjum i kantacie. Od chwili zamknięcia opery lwowskiej, młodsi kompozytorzy skłaniają się wyraźnie ku formom czysto instrumentalnym, bądźto na dużą orkiestrę, mądź też na obsadę kameralną lub solową.

Toteż zrozumiałą jest rzeczą, że w koncertach symfonicznych z młodszej generacji, z uwagi na rodzaj ich twórczości, zostaną wydatniej uwzględnieni, — co jednak nie przeszkadza, że usłyszymy też fragmenty z utworów kompozytorów starszych, dziś już nieżyjących.

Dodać trzeba, że w programach tych widnieją i dzieła obcych mistrzów, od Händla począwszy, — co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą i pochwały godną.

Nie zapomniano. też i o dyrygentach zpoza Lwowa: przewidziane jest przybycie Berdiajewa i Neumarcka, oraz jednego z zagranicznych dyrygentów.

* * *

Jak z powyższego widać, — koncerty Filharmonji lwowskiej zapowiadają się niezwykle interesująco pod każdym względem.

Oczekujemy ich też z prawdziwem zaciekawieniem, pewni zupełnie, że i na tem polu Lwów godnie dotrzyma kroku innym miastom. A dyrekcji Polskiego Radja należy się szczera wdzięczność za zorganizowanie tych koncertów. Jest to czyn o wysokiem znaczeniu dla naszej kultury muzycznej.

(Lucy)

W perspektywie czasu

Gdyby komuś z nas, lwowian, przytrafiła się niesamowita przygoda i na swej drodze spotkał Kulawego Djabła — Asmodeusza, gdyby potem wraz z nim w niedzielny wieczór obchodził domy i zaglądał pod ich dachy, to napewno nie zobaczyłby ani jednej wesołej, tragicznej czy frywolnej ze scen, opisywanych przez starego Le Sage'a. Lecz tem, coby ujrzał, byłby niemniej zdumiony, niż bohater lesageowskiej opowieści: widziałby długie szeregi mieszkań z ich lokatorami, siedzącymi z uważną twarzą, to zanoszącymi się od śmiechu, to znów poważnie potakującymi głową. Szukając ciekawszej sceny, zbliżałby się wraz z swym kulawym towarzyszem coraz bardziej ku centrum miasta. Aż wreszcie zaglądnąwszy pod dach jednej z kamienic, odkryliby źródło tych niepokojących objawów w ten sposób, że samiby im ulegli.

A źródło to — to studjo lwowskiej rozgłośni, nadającej swą cotygodniową „Wesołą Falę". Obraz długich szeregów domów z mieszkańcami zgromadzonymi czyto wokół głośnika, czy z słuchawkami na uszach przy zwykłym detektorze, nie ma w sobie najmniejszej przesady. Żadna z pozostałych siedmiu rozgłośni polskiego radja nie nadaje drugiej audycji, o tak wysokiej liczbie **stałych** słuchaczy, jak lwowska Fala; słuchaczy, rekrutujących się ze wszystkich sfer i jednako dobrze się bawiących: człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem śmieje się równie szczerze — choć może trochę dyskretniej — jak murarz, listonosz, tramwajarz. Wygląda to może trochę dziwnie, ale jest zupełnie zrozumiałe.

Bo nie sam dowcip i humor jest głównym składnikiem „Wesołej Fali"; często służą one tylko jako mniej ważne akcesorja, tworzą ramy dla **problemów i zagadnień**, sięgających w głąb życia społecznego. To przedstawianie rzeczy poważnych na wesoło, to świadome, a celowe przemycanie **głębokich myśli** pod zachęcającą, kolorową etykietką, jest specjalnością tylko i wyłącznie Lwowa, który pierwszy odkrył, iż dowcip radjowy — prócz zabawy — może służyć także i innym, głębszym, **wartościowszym celom.**

I jeszcze jedną zasługę wobec słuchaczy ma rozgłośnia lwowska, tę mianowicie, iż **stworzyła** i wprowadziła do radja — humor. Wszystko, co później, gdzieindziej powstawało, wzorowane było i jest na humorze lwowskim; próżno dziś sili się warszawska Syrena na wyprodukowanie rzeczy oryginalnych. Cokolwiek jej się uda skomponować, **ma swój pierwowzór** w którejś z licznych Fal; jest to nieuniknioną konsekwencją prawdy, że istnieje tylko **jeden humor radjowy.**

Uwagi te nasunęły mi się po wysłuchaniu 118-tej Wesołej Fali „Pamiętacie pierwszą wesołą niedzielę?" nadanej **w czwartą** rocznicę zapoczątkowania tych audycyj. Z próby czasu wychodzą one zwycięsko; a co równie ciakewe — świeżo. Powtarzane djalogi i skecz, dając przegląd tego co było, dawały też pomyślne prognostyki i na to, co być może. A że będzie — wiemy dobrze.

W ostatnich czasach znowu silniej zaciążyła nad regjonalnemi rozgłośniami prepoderancja Warszawy. Przytłaczająca większość audycyj jest transmitowana ze stołecznej rozgłośni. We Lwowie — przyzwyczajonym do pewnej, nawet dosyć dużej samodzielności — odczuwamy to tem silniej. A już prawie do rzadkości należy transmisja ze Lwowa na całą Polskę (pomijam tu dwie, tradycją uświęcone: Falę i audycję ks. Rękasa). Pocieszajmy się wszakże **programowemi zapowiedziami.** Głoszą one. że w najbliższych dniach i Lwów wstąpi w szranki ogólnopolskich audycyj, że żywiej zadźwięczą jego anteny.

Do niektórych lwowskich transmisyj na wszystkie rozgłośnie, należał reportaż muzyczny **Celiny Nahlik „O zmierzchu".** Potężne, wagnerowskie melodje, wizje i fantazje zaklęte w dźwięk, płynęły z głośnika falą porywającą, gorącą. Z żalem usłyszeliśmy, że już korowód postaci zamknięty. Wśród słownych audycyj słyszeliśmy feljeton **Konstancji Hojnackiej** p. t. **„Złowroga moc uprzedzeń".** Głębokie, mądre myśli prelegentki, sposób ich wyrażania, staranna forma feljetonu, wyróżniały go z pośród innych.

Ciekawą pogadankę wygłosił prof. J. B. **Liwoczyński** o **„Lwowie, mieście coraz schludniejszem".** Dla nas lwowian, szczególnie miłym był optymizm autora, twierdzącego wbrew utartemu zdaniu, że Lwów to brudne miasto, coś wręcz przeciwnego. Zresztą, jak to słusznie prof. Liwoczyński podkreślił, utrzymaniu czystości w naszem mieście wcale nie sprzyjają warunki klimatyczne: marglowe podglebie lwowskie, skropione niewinnym deszczykiem, daje natychmiast zwały błota, gdy inne, szczęśliwsze miasta ten sam deszcz odczyszcza, zmywa i odświeża. Jednak życzliwe, a — jak powiedziałam — optymistyczne spojrzenie prelegenta na te fakta, zjednało mu — w co nie wątpię — **żywą sympatję** miłośników grodu, niesłusznie brudnym swanego. Tego samego autora feljeton o **Rawie Ruskiej,** opisywał to miasto wraz z jego zabytkami i osobliwościami. M. in. dowiedzieliśmy się, że ma w nim swą siedzibę Centralna Szkoła Straży Granicznej, szkoła jedyna na całą Polskę. Pogadanki tej, informujcsej o godnem uwagi życiu prowincji, słuchałam z zainteresowaniem.

IRENA NAŁĘCZ.

Ciekawostki radjowe

Radjostacja w Hollywood. Największe amerykańskie Towarzystwo radjowe, „National Boadcasting Company", przystąpiło do zbudowania potężnej radjostacji w Hollywood. Będzie to już 78-ma stacja tego Towarzystwa na terenie Stanów Zjednoczonych.

Stacja w Hollywood będzie miała duże znaczenie dla świata filmowego, umożliwiając ścisły kontakt między produkcją filmową a radjem. Niewątpliwie też gwiazdy filmowe korzystać będą chętnie z nowej radjostacji i przemawiać przed mikrofonem do swych adoratorów na obu półkulach.

Turcja rozbudowuje radjofonję. W przyszłym roku wygasa koncesja udzielona przez rząd turecki prywatnej spółce radjowej ,mającej dotąd monopol w całem państwie.

W związku z tem opracowano już szczegółowy plan reorganizacji i rozbudowy radjofonji, która — po wygaśnięciu koncesji — przejdzie na własność rządu. Projektowaną jest budowa całego szeregu nowych potężnych stacyj nadawczych oraz kilkunastu stacyj przekaźnikowych.

Wzrost abonentów Polskiego Radja

Cyfry abonentów Polskiego Radja stale rosną, co wskazuje na trwałe i coraz żywsze zainteresowanie radjem wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa.

Na dzień 1 października r. b. Polskie Radjo liczyło 417.964 abonentów, co w porównaniu z ubiegłym miesiącem stanowi wzrost o 11.000.

Liczba abonentów wiejskich Polskiego Radja wynosi obecnie około 47.000.

Udoskonalenia techniczne w Polskiem Radjo

W centralnej amplifikatorni Polskiego Radja, w Warszawie przy ul. Zielnej 25, odbywa się obecnie montaż dwu zespołów aparatów do nagrywania płyt metalowych. Aparaty te sprowadzone niedawno, użyte były już do nagrywania płyt gramofonowych w czasie pierwszej podróży statku „Pilsudski" do Ameryki.

Obecnie obie aparatury wmontowane będą na stałe, dzięki czemu Polskie Radjo, które dotychczas posiadało tylko aparaty stila do utrwalania audycyj, otrzymuje nowe instrumenty pracy programowej.

Różnica między aparatami stila a obecnie montującymi się zespołami polega na tem, że stil utrwala audycje radjowe na taśmie stalowej tylko czasowo, natomiast aparatura płytowa pozwala na trwałe gromadzenie prawdziwego archiwum audycyj radjowych i przemówień wybitnych prelegentów radjowych